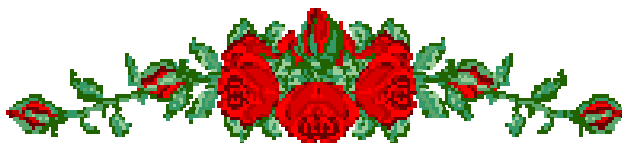




EVA RUTLAND

**Wynajmę
żonę**

Tytuł oryginału:
To Love Them All



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chociaż Marcy trzymała słuchawkę w pewnej odległości, szorstki głos huczał w jej uchu, przedzierając się przez trzeszczące łącza.

- Trzy tygodnie temu! To zdarzyło się trzy tygodnie temu, a pani powiadamia mnie dopiero teraz?!

- Bardzo mi przykro, panie Prescott, ale mieliśmy trudności ze...

- Powinienem dowiedzieć się o tym dużo wcześniej - przerwał jej w pół zdania. - Moja siostra... - ciągnął swoją tyradę, pełną gorczy i oskarżeń.

Nie powinna się dziwić, Diana wspominała kiedyś o wybuchowym charakterze brata. Wspomnienie przyjaciółki sprawiło, że przez chwilę Marcy nie mogła wydobyć z siebie głosu. Diana... Szczęśliwa, uśmiechnięta Diana... i David. Nie żyją.

- Co, u diabła, dzieje się w tej Kalifornii, że człowiek musi czekać trzy tygodnie na krótką wiadomość?

- Doprawdy, panie Prescott, zachowuje się pan jak... - Przerwała, z trudem się opanowując. - Tracimy tylko czas. Po co nadal opóźniać sprawę. - Pomyślała o nie kończącym się łańcuchu telefonów do odległych, mało znanych miejsc. Ekwador, Boliwia, Kolumbia. W końcu, w dalekim zakątku Peru, niedaleko Cuzco, suchy, bezosobowy głos poinformował ją, że pan Prescott jest w terenie i można skontaktować się z nim tylko przez radio. Marcy zostawiła swój numer telefonu, wyjaśniając, że sprawa jest niezwykle pilna

i prosząc, aby pan Prescott skontaktował się z nią jak najszybciej.
- Czy zdaje pan sobie sprawę, że jest pan nieosiągalny? Od wielu dni staram się pana odnaleźć i...

- Powinna się pani bardziej starać!

- Proszę o odrobinę rozsądku, panie Prescott!

- Rozsądku?! Na litość boską! Mówi mi pani, że moja siostra utonęła trzy tygodnie temu i oczekuje pani ode mnie roz... - Głos mu się załamał i Marcy natychmiast pożałowała swojej złości.

- Przepraszam pana. Przykro mi bardzo, że muszę przekazać tak smutną wiadomość. Proszę wybaczyć opóźnienie, ale naprawdę trudno było pana odszukać.

- Oczywiście. Proszę zrozumieć. Nie chciałem być niegrzeczny, po prostu...

- Zdaję sobie sprawę, że jest to dla pana szok. Chciałabym...

- Jest pani pewna? Oboje? - Tym razem mówił tak cicho, że ledwie mogła go słyszeć. - Jak to się stało?

W kilku zdaniach opowiedziała o wypadku na rzece Sacramento i o bezskutecznych próbach ratowania tonących. Nie mogła powstrzymać łez. Dobrze, że drzwi do jej pokoju były zamknięte. Tyle razy słyszała te rady: „Śądź zawodowcem. Nie możesz angażować się osobiście w każdą sprawę”. Jak jednak mogła nie angażować się w sprawę Nelsonów? Uważała ich niemal za swoją rodzinę. Dwa lata temu wprowadzili się do sąsiedniego mieszkania. Diana mówiła, że wybrali Auburn, ponieważ było dla nich idealnym miejscem. Cisza i spokój - tego potrzebowały dzieci, aby zdrowo rosnąć, oraz David, który pisał powieści detektywistyczne. Marcy bardzo się z nimi zżyła i teraz czuła się równie nieszczęśliwa jak brat Diany.

- Powinienem tam być. - Wciąż powtarzał to zdanie.

Czyżby żałował swojej sześćioletniej nieobecności w życiu Diany?

- Nie jest pan temu winien - próbowała go pocieszać. - Teraz najważniejsze są dzieci.

- Dzieci? - zapytał z wyraźnym zdziwieniem, jakby zapomniał o ich istnieniu.

- Davey i mała Ginger. - Przez chwilę Marcy nie mogła wydobyć z siebie głosu. - Trzeba... trzeba podjąć jakąś decyzję - dokończyła po chwili.

- Mój Boże! Dzieci! Jak się czują?

- Są pod dobrą opieką: Tymczasowo.

- Gdzie one są? Czy pani się nimi zajmuje?

- Nie. - Marcy bardzo by chciała zatrzymać Daveya i Ginger, ale nie dostała zgody szefowej. - Na razie umieściliśmy je w rodzinie zastępczej, u państwa...

- My? To znaczy kto?

- Opieka społeczna. - Wyprzedzając następne pytanie, mówiła szybko dalej: - Powierzono nam opiekę nad dziećmi do czasu odnalezienia pana lub innego krewnego. Czy jest jeszcze ktoś, z kim moglibyśmy się skontaktować?

- Nie.

- Czy pan jest jedynym żyjącym członkiem rodziny?

- Tak.

- Wobec tego... - Zawahała się. Czy on potrafi tyle udźwignąć? Musiała jednak zadać to pytanie. - Czy chciałby pan... to znaczy, czy wyraża pan wolę przejęcia odpowiedzialności za te dzieci?

- Oczywiście.

Jego zdecydowanie wzbudziło niepokój Marcy. Pan Prescott na pewno nie chciałby zajmować się dwójką małych dzieci, zwłaszcza że jest inne wyjście.

- Przylecę najbliższym samolotem. Gdzie mam je odebrać? Odebrać? Czyżby ten człowiek wyobrażał sobie, że może tak po prostu przyjechać i zabrać dzieci, jakby były przesyłką czekającą na niego na poczcie?

- Panie Prescott, istnieją pewne procedury postępowania w tego typu sprawach.

- Procedury?
- Dokumenty, które trzeba podpisać... pewne kroki, które należy podjąć, aby ustanowić pana prawnym opiekunem.
- Rozumiem. Proszę przygotować te dokumenty. Będę w Auburn najdalej za kilka dni. A teraz niechże mi pani powie, gdzie mogę znaleźć dzieci?
- Proszę skontaktować się ze mną w biurze. - Podala mu adres.
- Nazywam się Marcy Wilson.

- Dziękuję, panno Wilson. Będę z panią w kontakcie.
Odłożyła słuchawkę, podenerwowana. Minęło kilka minut, zanim napisała na kartce:

18 września. Skontaktowałam się panem Stephenem Prescottem, bratem zmarłej, jedynym żyjącym krewnym. Wykazuje wolę przejęcia odpowie...

Przerwała. Przecież on tak naprawdę wcale nie chce tych dzieci. Nigdy ich nie widział. Poza tym, w jaki sposób miałyby się nimi opiekować, prowadząc tak niestabilizowany tryb życia? Podjął spontaniczną decyzję, kierując się poczuciem odpowiedzialności.

Jeśli Marcy przedstawi inny plan, lepszy dla dzieci, Prescott na pewno się zgodzi. Wykreśliła ostatnie zdanie, pisząc zamiast niego:

Wyraża chęć przyjazdu za kilka dni w celu przedyskutowania opieki prawnej nad dziećmi.

Było to bliskie prawdy. Prescott, jako krewny, ma pierwszeństwo, ale musi wykazać wolę zaopiekowania się dziećmi i możliwości finansowe. Trzeba to sprawdzić.

Gdyby nie czek, który pewnego letniego wieczora pokazała jej Diana, Marcy nigdy nie dowiedziałyby się o istnieniu Stephen'a Prescott'a. Siedziały razem na werandzie przy winie i serze, a dzieci bawiły się obok na trawniku. Marcy zapamiętała ten czek, ponieważ opiewał na nieprawdopodobną sumę.

- Pięć tysięcy dolarów na urodziny!?
- Mój wielki brat chciałby dać mi wszystko oprócz samego

siebie. - W śmiechu Diany pobrzmiwała nuta goryczy. - On chyba myśli, że David może mnie rzucić w każdej chwili i dlatego wciąż ofiarowuje mi drobne datki.

- Drobne datki!

- Zawsze był hojny, nawet kiedy niewiele miał. Kiedyś oddał mi wszystkie swoje pieniądze, żebym mogła kupić sobie czerwony płaszcz. - Diana wróciła pamięcią do dzieciństwa. Ich matka zmarła młodo; ojciec, wędrowny handlarz, wydawał większość swoich skromnych dochodów na utrzymanie domu. - To było we wrześniu, właśnie zaczynała się szkoła. Wiesz, jak przeczulone na punkcie ubrań są nastoletnie dziewczęta. Zobaczyłam ten płaszcz i marzyłam o tym, aby go kupić. Stephen miał piętnaście lat. Całe lato pracował jako chłopiec na posyłki. Zbierał pieniądze na samochód. Oddał mi je, żebym mogła kupić płaszcz. - Zamilkła. Przez chwilę słychać było jedynie rytmiczny stukot maszyny do pisania w głębi domu i krzyki dzieci.

- To bardzo szlachetnie z jego strony. - Marcy widziała łzy napływające do oczu przyjaciółki.

- Następnego dnia zniknął. Po prostu wyszedł z domu. Nikt nie mógł go znaleźć, ani tato, ani ktokolwiek inny. Och, Marcy! Nie masz pojęcia, co czułam. - Diana z trudem powstrzymywała się od wybuchnięcia płaczem. - Nie znałam swojej mamy. Tato większość czasu spędzał poza domem, wciąż zmieniał nasze opiekunki. Stephen był dla mnie wszystkim. Kiedy odszedł... znenawidziłam ten czerwony płaszcz. Musiałam go nosić przez następne dwa lata i nie cierpiałam go ponad wszystko. Nienawidziłam także Stephena.

- Ale ten czek. Musiałaś jeszcze kiedyś spotkać brata.

- Dziesięć lat później. Dwa lata po jego zniknięciu zaczęły przychodzić kartki, potem pieniądze i prezenty. Od czasu do czasu telefonował, zawsze z innego miejsca. Potem, po śmierci taty, wrócił. Zapropował, żebym z nim zamieszkała.

- Zrobiłaś to?

- Nie. Nie potrzebowałam już Stephena. Miałam Davida. - Diana odstawiła kieliszek. Skierowała na Marcy poważne spojrzenie. - Nie widziałam brata przez dziesięć lat. Pokłóciliśmy się wtedy strasznie, jak nigdy dotąd. Wiesz o co? Powiedziałam, że zamierzam wyjść za mąż.

- Nie spodobał mu się David?

- On go nawet nie widział. Przekonywał mnie, że nie ma większej głupoty, niż związać się z jakimś draniem, który rzuci mnie za pół roku. Wtedy powiedziałam mu, że niewątpliwie mam do czynienia z ekspertem w sprawach odchodzenia na całe lata. - Upiła odrobinę wina i westchnęła. - Stephen był wyraźnie zszokowany i dotknięty. Wciąż powtarzał, że jestem za młoda, za mało znam życie. Ale ja nie słuchałam, poniosła mnie złość. Krzyczeliśmy na siebie, aż w końcu Stephen wrzasnął: „Proszę bardzo, wyjdź za niego! Zobaczysz, złamie ci serce, zmarnuje życie, zostawi z gromadką dzieciaków!”. Na to ja warknęłam: Mam nadzieję, że nigdy się nie ożenisz, byłoby mi bardzo szkoda twojej żony i dzieci... A on tylko roześmiał się i powiedział: „Nie ma obawy, nie zamierzam tego robić”.

- Nie rozumiem twojego brata. Powinien cieszyć się razem z tobą. - Marcy pomyślała o swojej siostrze, Jennifer. Odkąd pobrali się z Alem, są tacy szczęśliwi.

- Cóż, Stephen nie był uradowany. Z czasem ochłonął i przeprosił mnie. Wszystko wróciło na dawne tory: pocztówki i czek. Jak widzisz, jest bardzo hojny. - Diana spojrzała na czek. - Ale nie widziałam go już pół roku. I wiesz co? Wciąż za nim tęsknię, za bratem, którego miałam.

Marcy wciąż pamiętała nutę goryczy i żalu pobrzmiewającą w głosie przyjaciółki. Pomyślała o dzieciach. Davey i Ginger potrzebują teraz miłości i całkowitego oddania bardziej niż czegokolwiek innego. Czy Stephen Prescott, który nigdy nie miał czasu dla Diany, nadaje się na ich opiekuna?

Powinnam być wtedy w domu, wyrzucała sobie, chociaż wiedziała, że szeryf i tak nie oddałby dzieci pod jej opiekę, bo nie była z nimi spokrewniona. Nie było jej, ponieważ poszła z Tomem Jenkinsem do kina. Wróciła po północy, o wypadku dowiedziała się dopiero rano od sąsiadki. Policjant, który przyniósł tragiczną wiadomość, szukał kogoś, kto mógłby zająć się dziećmi. Kim, nastoletnia opiekunka, była przerażona i zupełnie zagubiona. Sąsiedzi także nie potrafili pomóc. Wobec tego powiadomiono pracowników opieki społecznej, którzy zabrali dzieci. Mieszkanie opieczętowano.

Słyszając to, Marcy popędziła do biura.

- Usiądź i spróbuj się uspokoić. - Jo Stanford, jej przełożona i przyjaciółka zarazem, przyniosła szklankę wody. Marcy płakała histerycznie. - Wiesz dobrze, że nie mogę oddać ci tych dzieci. Byłaś zaprzyjaźniona z ich rodziną, często opiekowałaś się nimi, ale nie jesteś spokrewniona. Sytuacja jest wyjątkowa.

- Jeśli nie mogę dostać dzieci, daj mi chociaż tę sprawę.

- Tego też nie mogę zrobić. Jesteś zbyt zaangażowana uczuciowo.

- Na litość boską, Jo! Te dzieci właśnie straciły oboje rodziców. Potrzebują mnie, nie kogoś obcego. Muszę im pomóc przez to przejść. Muszę, Jo.

- No, dobrze. - Jo w końcu uległa prośbom przyjaciółki. - Postaraj się odnaleźć najbliższego krewnego.

Jeszcze tego samego ranka Marcy poszła odwiedzić dzieci. Sara i Henry Jones, życzliwi i kochający się ludzie, mieli pod opieką jeszcze dwoje dzieci, niemowlę i chłopca w podobnym wieku, co Davey.

- Marcy, gdzie jest moja mamusia? - Ginger rzuciła się jej na szyję.

Marcy przytuliła ją i spojrzała na Daveya, który siedział spokojnie na krześle. Zbyt spokojnie. Zabrała dzieci do parku i tam, przy stawie z kaczkami, powiedziała im, że ich rodzice odeszli do miej-

sca, które nazywa się niebo, bo wszyscy dobrzy ludzie tam idą. Było to niezwykle bolesne. Davey milczał, jednak nieobecne spojrzenie jego ciemnych oczu czyniło go o wiele starszym. Ginger, która niewiele rozumiała, zaczęła płakać..

- Nie chcę, żeby mamusia gdzieś chodziła - zawodziła. - Kto będzie się mną zajmował?

- Nie płacz, Ginger, ja się tobą zaopiekuję.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział Davey. Marcy czuła, że pęka jej serce. Przytuliła ich do siebie i nie przestawała powtarzać, że wszystko będzie w porządku. Nie była jednak tego pewna.

Razem z upoważnionym do tego prawnikiem przejrzała dokumenty Nelsonów. Czuła się okropnie, wchodząc do dobrze jej znanego mieszkania, które kiedyś było pełne życia, a teraz kojarzyło się jedynie ze śmiercią. Włochaty miś, wygrany kilka tygodni wcześniej na loterii, patrzył na nią z beżowej sofy. Na podłodze w salonie leżał pociąg Daveya, w powietrzu unosił się zapach zwędniętych róż. Marcy miała ochotę posprzątać, pościelić łóżka, wyrzucić uschnięte kwiaty. Niestety, nie wolno jej było ruszać niczego poza papierami, które mogłyby ujawnić jakąś informację o najbliższej rodzinie Nelsonów. Większość listów pochodziła od agenta Davida z Nowego Jorku. Kiedy do niego zadzwonili, potwierdził to, co Marcy wiedziała od Diany - David wychował się w sierocińcu i nie miał krewnych. Marcy wciąż twierdziła, że Diana miała brata, widziała przecież czek. W końcu znaleźli pocztówkę od niego, nadaną w Hongkongu oraz krótki list na firmowym papierze Semco Oil Company z Nowego Jorku. Zadzwonili więc do biura. Sekretarka powiedziała im, że pan Stephen Prescott przebywa gdzieś w Ameryce Południowej. W ten sposób rozpoczęła się seria telefonów do najróżniejszych miejsc świata.

Tymczasem Marcy starała się spędzać jak najwięcej czasu z dziećmi. Zabierała je na wycieczki i cieszyła się ogromnie, gdy ludzie pytali, czy jest ich matką.

- Są bardzo do ciebie podobne, zwłaszcza Ginger - zauważyła Jo Stanford. - Takie same dołeczki w policzkach i duże, niebiesko-zielone oczy. Tylko włosy macie inne.

Rzeczywiście, jasne kędziorki sięgały Ginger do ramion, a włosy Marcy były miedziane i krótko ostrzyżone.

- Obie jesteście drobnej budowy - mówiła Jo. - Ale mnie nie zwiedzie delikatny wygląd. Założę się, że jest tak samo uparta, jak ty.

- Wcale nie jestem uparta - protestowała Marcy, chociaż porównanie do Ginger sprawiło jej wyraźną przyjemność. Zawsze lubiła te dzieci, a teraz, kiedy straciły rodziców, gorąco pragnęła je adoptować. Wspomniała nawet o tym przy Jo, wprawiając ją w osłupienie.

- Zupełnie zwariowałaś, Marcy. Nie możesz tego zrobić.

- Wiem. Ale nie wiadomo, czy ich wujek będzie chciał je wziąć. Nie patrz tak na mnie. Z tego, co mówiła mi o nim Diana...

- Marcy, znam twoje zdanie na temat tego człowieka, ale musimy przestrzegać reguł. On jest najbliższym krewnym i... Trzeba go odnaleźć, zapytać, czy chciałby przejąć opiekę nad nimi, potem sprawdzić, czy się do tego nadaje... - Przerwała, kierując na Marcy twarde spojrzenie. - Bądź realistką. Dobrze wiesz, że sąd niechętnie przyznaje samotnym rodzicom prawo do adopcji. A poza tym, jak mogłabyś utrzymać dwójkę dzieci? Ledwo starcza ci na własne wydatki.

Uwaga Jo odnosiła się nie tylko do skromnych dochodów przyjaciółki. Obie wiedziały, że Marcy miewa ekstrawaganckie pomysły. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy dwukrotnie musiała prosić o wypłacenie pensji przed terminem.

- Czemu nie wyjdiesz za męża? Mogłabyś mieć własne dzieci - proponowała Jo. - Na przykład za Geralda. Nie, nie za niego. Już wiem! Za tego bankiera, Toma Jenkinsa. On mógłby spełniać twoje zachcianki. Tak, Jenkins to zdecydowanie najlepszy wybór.

Marcy uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi. Nie powiedziała Jo, że Tom już kilkakrotnie wspominał o małżeństwie, chociaż Marcy robiła wszystko, aby unikać tego tematu. Lubiła Toma, ale ani jego, ani innego mężczyzny, nie darzyła żadnym szczególnym uczuciem. Nie mogłaby zresztą wyjść za mąż tylko z powodu Daveya oraz Ginger. Nagle pomyślała o swojej siostrze, Jennifer. Była zamężna i dobrze sytuowana. W czasie ostatniej rozmowy napomknęła, że chciałyby adoptować dziecko. Na pewno się ucieszy, słysząc o dzieciach Nelsonów.

Kiedy Jo wyszła, Marcy zadzwoniła do siostry. Ta jednak nie była już tak entuzjastycznie nastawiona do tego projektu. Wydawała się dziwnie apatyczna i nieszczerza. Czemu zmieniła zdanie? Czy stało się coś złego?

Trzeba przestrzegać przepisów, upominała Jo. Tymczasem Marcy zachowywała się wyjątkowo nieprofesjonalnie, jakby zapomniała, że dzieci zmarłych sąsiadów są jedynie kolejnym przypadkiem, nad którego rozwiązaniem pracuje. Po pierwsze, musi odnaleźć Stephen'a Prescott'a.

I oto go odnalazła. Powiedział, że przyjedzie. Czy weźmie dzieci?

Delikatne pukanie do drzwi przerwało jej rozmyślenia. Nie czekając na odpowiedź, Gerald Sims wszedł do pokoju. Był wesoły i ruchliwy, miał włosy w kolorze piasku i trochę piegów na nosie.

- Koniec pracy, rodacy -? przywitał ją jednym ze swoich powiedzonek.

Marcy z trudem zmusiła się do uśmiechu.

- Może zjemy razem kolację? - zapytał. - Słyszałem, że w Gaslight grają niezłe przedstawienie. Chciałabyś zobaczyć?

- Wybacz, Geraldzie, ale dzisiaj jestem zajęta. Obiecałam dzieciom Nelsonów, że...

- Znowu!?

Marcy nie odpowiedziała. Wzięła teczkę z dokumentami i położyła ją na biurku Anity, obok mnóstwa podobnych akt.

- Tylko praca i praca. Trzeba mieć czas i na przyjemności.
- Ależ to jest przyjemne. Idziemy do cyrku. Może się przyłączyć?

- Serdeczne dzięki. - Odprowadził Marcy do samochodu. - Cały tydzień zajmuję się dziećmi, mam ich dość. Zamierzam się dobrze bawić. W towarzystwie dorosłych.

Jadąc do domu, myślała o tym, co powiedział Gerald. Jeśli nie lubił dzieci, dlaczego nie przeniósł się do innego działu? Marcy je uwielbiała. Gdyby mogła... Cóż, na razie nie ma na to szans. Skręciła w stronę Woodside i zaparkowała swojego volkswagena. Osiedle to było niezwykle malowniczo położone w otoczeniu prastarych lasów. Zachodzące słońce ożywiało jesienne barwy, nadając drzewom różnorodne odcienie czerwieni, zieleni i złota. Mieszkanie tutaj, w apartamencie z kominkiem i antresolą, było jedną z jej ekstrawagancji. Idąc w stronę domu, podniosła z ziemi kilka kasztanów. Musi szybko się przebrać, aby przed zabraniem dzieci zatrzymać się przy bankomacie. Ile pieniędzy będzie potrzebowała? Trzy bilety, nie, cztery. Pod wpływem impulsu zaprosiła też Troya, innego podopiecznego - tak rzadko miał okazję wyjść z domu. Cztery bilety, plus inne wydatki - czterdzieści dolarów powinno wystarczyć. Czy na pewno zostanie na koncie dosyć pieniędzy na życie? Nieważne, jutro o tym pomyśli.

W poniedziałek i wtorek nie miała wolnej chwili. Jedenastoletni Jimmy Braxton nie potrafił porozumieć się z rodziną Emorych. Biedne dziecko - za dużo problemów, zbyt wielu opiekunów. Umówiła się z doktorem Jacksonem, aby przedstawić mu tę sprawę. Może trzeba będzie zorganizować dla chłopca jakąś pomoc?

We wtorek po południu przywieziono dwoje pobitych dzieci. Musiała szybko znaleźć dla nich opiekunów. Sprawy piętrzyły się, Marcy została więc w pracy po godzinach. Przeszła do głównego biura po teczkę Braxtona. Nie znalazła jej jednak w szufladzie ani

na biurku Anity. Co za bałagan, pomyślała zirytowana. Nagle zobaczyła stos akt na szafce. Może ta. Tak, w samym środku pokaźnej góry papierów tkwiła teczka Jimmy'ego. Chyba da się wyjąć.

- Przepraszam, czy...

Marcy podskoczyła, pociągając za sobą teczkę i wszystkie akta rozsypały się po podłodze. Pięknie. Doskonale zakończenie wspólnego dnia. Wściekła, odwróciła się w stronę intruza.

- To moja wina. Przepraszam. - Mężczyzna pochylił się nad rozrzuconymi dokumentami.

- Nie! - krzyknęła. - Proszę tego nie dotykać!

Słyszac tak gwałtowny protest, nieznamy wstał. Marcy zobaczyła czarne włosy, bardzo ciemne oczy oraz mocno opaloną twarz. Sprawiał wrażenie niezwykle aktywnego człowieka, który większość czasu spędza poza domem.

- Chciałem pomóc, ale... - Wskazał ręką leżące papiery. Marcy zmieszana się, wyczuwając w jego głosie zdziwienie, a jednocześnie rozbawienie.

- Ja... Trzeba je poukładać - próbowała wyjaśniać. - No i... te akta... one są poufne.

- Ach, rozumiem. Wobec tego nie będę się im przyglądał. - Posłał jej ciepły, konspiracyjny uśmiech, po czym lekko kucnął na piętach. - Ja je podniosę, a pani ułoży.

Tak też się stało. Mężczyzna podnosił akta z podłogi, a Marcy je porządkowała. Brown. Jones. Johnson. Nie, to Thomas. Pracowała jak w transie, nazwiska wirowały jej przed oczami, była zmieszana i zawstydzona. Wszystko przez tę Anitę i jej bałagan! Pomyślawszy to, Marcy zarumieniła się. Dobrze wiedziała, że to nie rozrzucone akta ją drażnią, ale ten lekki uśmiech nieznanego mężczyzny, który sprawiał, że czuła się dziwnie podekscytowana i jakby trochę pijana. Kim on był? Nowym prawnikiem? Wyglądał raczej na człowieka lubiącego otwartą przestrzeń, chociaż w tej chwili ubrany był jak urzędnik, miał na sobie świetnie skrojony

garnitur. Jednak jego ręce były mocno opalone, przyzwyczajone do pracy, zupełnie niepodobne do rąk urzędnika, który całymi dniami siedzi przy biurku.

W końcu Marcy położyła papiery z powrotem na szafce i, nieco zasapana, odwróciła się w stronę mężczyzny.

- Dziękuję. W czym mogę pomóc?

Usilnie poszukiwał czegoś w kieszeni marynarki, w końcu wyjął zmiętą kartkę papieru.

- Szukam biura opieki społecznej.

- Już pan znalazł. - Może to jednak ten prawnik, pomyślała.

- Świetnie. - Znow się uśmiechnął, a Marcy przyglądała się zafascynowana, jak w uśmiechu wspaniale rozjaśniały się jego oczy. - Chciałbym się spotkać z Marcy Wilson.

- To ja.

- Witam panią. - Podał jej rękę. - Stephen Prescott. Przyjechałem po dzieci Nelsonów.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marcy zaniemówiła na chwilę. A więc to jest Stephen Prescott? Oczekiwała... kogo? Na pewno nie tego przystojnego, opalonego mężczyzny o przyjaznych, wesołych oczach. Davey! Takie same oczy! Nic dziwnego, że wydawał jej się znajomy.

- Panno Wilson, przede wszystkim chciałbym pani podziękować. Naprawdę doceniam fakt, że pani do mnie dzwoniła. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Teraz potrzebuję dalszych instrukcji. Gdzie mogę odebrać dzieci?

- Nie może pan! To znaczy nie w tej chwili. Ale cieszę się, że pana widzę. Czekaliśmy na pana. Proszę tędy, do mojego pokoju. Tam będziemy mogli porozmawiać.

Szła przed nim, wystukując miarowy rytm na twardej posadzce. Była zadowolona, że włożyła buty na obcasach i wąską czarną spódnicę. Wyglądała zgrabnie i elegancko. Nagle poczuła złość na samą siebie. Wcale jej nie zależy, żeby podobać się Stephenowi Prescottowi. Dlaczego się denerwuje? Wzięła głęboki oddech i niemal udało jej się uspokoić, zanim dotarła do swojego biurka. Zajął wskazane krzesło, cały czas nie odrywając od niej wzroku. Spojrzała na zegarek. Prawie szósta.

- Za chwilę się panem zajmę. Muszę zadzwonić. - Wykręciła numer doktora Jacksona i poinformowała jego sekretarkę, że nie może przyjść z powodu bardzo pilnej sprawy. - Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do gościa: - Szybko pan przyjechał.

- Owszem - odpowiedział. - Przyleciałem do Sacramento dzi-

siaj po południu, potem wynająłem samochód. Nie było żadnego połączenia do Auburn.

- Rzeczywiście, jesteście nieco odizolowani od świata. - Mówiła mechanicznie, z całych sił próbując skupić się na najważniejszej kwestii. Czy Ginger i Davey będą szczęśliwi z tym człowiekiem? Próbowała się bronić przed emocjami, jakie w niej wywoływał. - Bardzo mi przykro z powodu pańskiej siostry i jej inea. Wiem, że ta sytuacja jest dla pana trudna.

- Dziękuję. - Usiadł wygodniej. - Sądzę, że dzieci gorzej to znoszą. Dlatego tak szybko przyjechałem.

- Jak długo zamierza pan tutaj zostać?

- Jeszcze nie wiem. Pojutrze mam spotkanie w Nowym Jorku. Marcy poczuła, jak wzbiera w niej złość. On naprawdę myśli, że może tak po prostu wpaść i zabrać dzieci.

- Wobec tego nie mamy zbyt wiele czasu. - Jej ton był bardziej oschły, niż tego chciała.

- Cóż, będę tu jutro przez cały dzień. Muszę się jeszcze spotkać z szeryfem Qlseyem. Przysłał mi telegram.

- Mogę go zobaczyć?

- Telegram?

- Tak. I paszport albo prawo jazdy. - Zmarszczył brwi. Otwarta dłoń Marcy wyrażała jednocześnie przymus i usprawiedliwienie.

- Takie są przepisy. Nie wątpię, że jest pan tym, za kogo się podaje, ale muszę mieć pewność, zanim przejdę do sprawy.

- Oczywiście. - Podał jej zmięty telegram i zniszczone międzynarodowe prawo jazdy wydane w Anglii.

- Mieszka pan w Anglii?

- Nie. To znaczy... - Chciał coś dodać, ale zmienił zdanie.

- Zadowolona? - zapytał, kiedy oddała mu obie rzeczy.

- Tak.

- Więc mogę zabrać dzieciaki?

- Jest raczej późno. - Spojrzała na zegarek.

- Wiem, że jest późno, ale nie mam zbyt wiele czasu. Proszę posłuchać... - Zerwał się z krzesła, przeczesał dłonią włosy. Jego głos zdradzał, jak bardzo się niecierpliwi. - Proszę posłuchać, panno Wilson. Zanim mnie pani zawiadomiła, minęły trzy tygodnie od śmierci mojej siostry. Dzwoniła pani i prosiła, abym przyjechał i odebrał dzieci.

- Nie prosiłam, żeby pan przyjechał i odebrał dzieci.

- Ależ tak. - Patrzył na nią mocno zdziwiony. - Powiedziała pani...

- Zapytałam, czy wyraża pan wolę przejęcia odpowiedzialności...

- Na jedno wychodzi.

- Nie całkiem. - Marcy skrzyżowała ręce na piersiach. Usiłowała mówić spokojnie. - Jeśli pan pamięta, mówiłam wtedy, że istnieją pewne przepisy.

- Proszę dać te papiery, to je podpiszę.

- To nie jest takie proste... - Przerwała. Nie czas teraz rozmawiać o możliwościach finansowych i innych sprawach. - Panie Prescott, jest późno. Zazwyczaj zamykamy biuro o piątej.

- Przykro mi. - Uśmiechnął się, a Marcy znów opanowały dziwne emocje. - Doceniam, że poświęciła mi pani tyle czasu. Po prostu niepokoję się o dzieci. Nie chciałbym, aby czuły się porzucone.

- Ginger i Davey są pod dobrą opieką. Państwo Jones to przyjazna i doświadczona rodzina zastępcza. Wspaniale zajmują się dziećmi.

- No dobrze, ale... - Już się nie uśmiechał, jego twarz wyrażała napięcie i troskę. - Chcę, żeby wiedziały, że jestem tu dla nich i że nie muszą mieszkać z obcymi ludźmi.

Co za ironia, pomyślała. Przecież on sam jest dla nich obcym człowiekiem.

- Rozumiem, że chciałby pan spotkać się z dziećmi jak najszybciej.

ciej... - Zawahała się. - O ile wiem, pan nigdy wcześniej ich nie widział.

- Cóż, rzeczywiście nie miałem okazji. Widzi pani, dużo podróżuję i...

- Wobec tego może byłoby dobrze, gdyby miały szansę poznania pana. Jeśli pan chce, możemy pojechać do nich jutro rano.

- Zamilkła na chwilę. - Znam je dobrze... mieszkałam obok, przyjaźniliśmy się z ich rodzicami.

- Znała ich pani? Naprawdę? - Wyraźnie się ożywił, pochylił się do przodu. - Była pani z nimi tamtej niedzieli? Rozmawiała?

- Nie. Wróciłam później.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Kolejny raz opowiadała tę samą historię, tym razem bardziej szczegółowo. O tym, że nie udało się odnaleźć ciała; że umieścili dzieci w rodzinie zastępczej; że przeszukiwali mieszkanie, aby odnaleźć jakichś krewnych. Kiedy skończyła, siedział cicho, wzrok miał nieobecny, zupełnie jak Davey.

- Gdzie się pan zatrzymał? Czy wynajął pan jakiś pokój?

- Słucham? - Obudził się z letargu. - Tak, w Auburn Inn.

- To dobrze. Wobec tego możemy się spotkać jutro. O dziesiątej? - Przypomniała sobie, że o dziewiątej jest umówiona z doktorem Jacksonem. - Może lepiej o wpół do jedenastej/Pójdziemy zobaczyć się z dziećmi.

- Dobrze. - Wciąż nie patrzył na nią, jakby był nieobecny myślami.

- Potem wrócimy do biura, żeby przedyskutować kwestię opieki prawnej.

- Opieki prawnej? Przedyskutować? O czym pani mówi?

- Tym razem wbijał w nią czujny wzrok.

- O procedurach, o których wspominałam wcześniej. - Powiedziała to lekkim tonem, wstając jednocześnie z krzesła. - Pomówimy o tym jutro.

- Chwileczkę. - Zerwał się z krzesła. - Wciąż mówi pani o jakichś procedurach. Co oznacza „opieka prawna”?

No nie, pomyślała. Ustanawianie opieki prawnej było dla niej rutynową czynnością; zapominała, iż wielu ludziom ten termin nic nie mówi. Powinna wyjaśnić mu to wcześniej.

- Panie Prescott, w zaistniałej sytuacji, kiedy rodzice nie zostawili testamentu i nie było nikogo z rodziny, kto mógłby zająć się dziećmi, zostały one oddane pod opiekę sądu. Tymczasowo, oczywiście - dodała szybko, widząc, że mężczyzna marszczy gniewnie brwi. - Tak stanowi prawo. Powierzono mi tę sprawę.

- Sprawę?

- To nie jest skomplikowane. Ale zanim zostanie panu przyznane prawo do opieki nad dziećmi, musi pan przekonać sąd, że...

- Niech mi pani nie zawraca głowy sądem. - Pochylił się nad biurkiem, rzucając Marcy groźne spojrzenie. - Mówimy o dzieciach mojej siostry. Bóg mi świadkiem, chciałbym, żeby tu była i sama zajęła się nimi. Ale jej nie ma, więc ja zabieram dzieci. I nie pozwolę, żeby przeszkodziła mi w tym wasza biurokracja.

- Nie zamierzamy panu przeszkadzać, wręcz odwrotnie. Jestem tutaj, żeby panu pomóc. Ale może będzie pan chciał wynająć adwokata.

- A do czego jest mi potrzebny adwokat? - Z trudem panował nad rosnącą złością. - Wie pani dobrze, że jestem wujkiem tych dzieci. Posłała pani po mnie i...

- Oczywiście, ma pan pierwszeństwo. - Miała nadzieję, że trochę go to uspokoi. - Jednak w przypadku braku testamentu, prawo musi chronić zarówno pana, jak i dzieci. - Złagodniał nieco, ale wciąż miał wątpliwości. - Chciałam tylko, aby pan wiedział, że może pan wynająć prawnika. Ale nie jest to konieczne. Znam dobrze procedury, chętnie panu pomogę. - Uśmiechnęła się, ale nie odwzajemnił jej uśmiechu. - Jest naprawdę późno. Zobaczmy się jutro o wpół do jedenastej.

- W porządku. - Wzruszył ramionami.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Marcy usiadła z powrotem i zatopiła się w myślach. Powiedziała Prescottowi, że jest tu po to, aby mu pomóc. Cóż, minęła się nieco z prawdą. Miała swoje plany względem dzieci i nie brała pod uwagę ich wujka, więc pomaganie mu było ostatnią rzeczą, jaką zamierzała zrobić.

Ktoś otworzył drzwi. Podniosła głowę i zobaczyła, że to znowu on.

- Chciałbym o coś spytać.

- Słucham.

- Chodzi o Dianę. Była pani jej przyjaciółką. Czy... - Wyglądał niezwykle poważnie. - Czy Diana była szczęśliwa?

- Bardzo. Nigdy nie znałam szczęśliwszej rodziny.

- Cieszę się. Dziękuję, panno Wilson.

Kiedy zniknął, przez moment wpatrywała się w zamknięte drzwi. A jednak mu zależało! Naprawdę myślał o dobru Diany. Może będzie dbał o dzieci. Jeśli jednak zamierza wyjeżdżać na całe tygodnie... Bądź cierpliwa, upomniała siebie. Dowiesz się o nim więcej, wypełniając dokumenty. Jutro zobaczysz reakcję dzieci. I jego.

Marcy czuła, że zasłużyła na dobrą kolację. Nie przepadała za gotowaniem, czasem tylko przygotowywała coś dla gości. Od czasu do czasu jadała w Sutton's. Była to popularna restauracja z dobrą kuchnią.

Przed lokalem spotkała Geralda Simsa. Uśmiechnął się szeroko na jej widok.

- A skądże ty tutaj, Marcy, słoneczko? Może uczymy to spotkanie butelką Chateaubriand?

- Dobrze, ale płacimy razem. - Gerald nie zarabiał więcej od niej, a musiał opiekować się chorym ojcem.

- Oczywiście, dziecino, nie cierpię na nadmiar gotówki. Śmiejąc się serdecznie, weszli do obszernej, jasno oświetlonej

sali. Marcy lubiła tę restaurację z powodu przemiłej, domowej atmosfery. Pani Sutton przywitała ich i zaprowadziła do stolika, żartując po drodze z Geraldem. Marcy rozejrzała się po sali i ze zdziwieniem dostrzegła Stephena Prescottta, który siedział samotnie przy oknie.

- To jest wujek małych Nelsonów - poinformowała swojego towarzysza. - Przyjechał dziś po południu.

- To świetnie, będziesz miała więcej czasu dla mnie.

Marcy nie słuchała. Patrzyła w stronę Prescottta. Był wyraźnie przygnębiony. Poczowała wyrzuty sumienia. Do tej pory nie myślała wcale o tym, jak on się czuje. Ten człowiek właśnie utracił jedyną siostrę, którą niewątpliwie kochał. Niedługo dostanie pod opiekę dwoje małych dzieci. Z pewnością nie był na to przygotowany, ale ani chwili się nie wahał. „Przyjadę”, obiecał. „Zabiorę je.” I dotrzymał słowa.

Wstała nagle.

- Może poprosimy pana Prescottta, żeby się do nas przyłączył? Zaskoczony Gerald poszedł za nią. Na ich widok Prescottt podniósł się z krzesła.

- Witam ponownie - przywitała go Marcy. - Chciałabym przedstawić panu mojego przyjaciela Geralda Simsa. Geraldzie, poznaj Stephena Prescottta.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i wymienili grzeczności.

- Może przysiadzie się pan do naszego stolika?

- Nie chciałbym przeszkadzać.

- Proszę się nie krępować. Przyjemniej jest jeść w towarzystwie - przekonywała Marcy.

Usiedli więc razem. Początkowo rozmowa nie kleiła się. Gerald wspomniał o wypadku, złożył kondolencje. Prescottt wyraźnie posmutniał.

- Udało mi się odnaleźć pana Prescottta w Ameryce Południowej. - Marcy próbowała zmienić temat. - W Peru.

- O! - Gerald od razu się zainteresował. - Co pan tam robił?
- Buszowałem.
- Co takiego?

Zdziwienie Geralda wywołało uśmiech gościa.

- Szukałem ropy naftowej - wyjaśnił. - Badaliśmy glebę, zrobiliśmy kilka odwiertów.
 - W Arabii Saudyjskiej?
 - Nie tylko. W zeszłym tygodniu byłem w Arabii Saudyjskiej.
- Powiedział to ze swobodą człowieka przyzwyczajonego do nieustannych podróży.

Jak on zamierza opiekować się dziećmi? - zastanawiała się Marcy.

- To musi być ekscytujące.
- Zapewne.

Uśmiechnął się do kelnerki, która właśnie stawiała przed nim talerz. Kobieta była rozpromieniona. Głupia dziewczyno, skarciła ją w myślach Marcy. On do każdego uśmiecha się w ten sposób. Zawstydzona własną reakcją, spuściła głowę i zaczęła dłużyć w sałatce, żeby odegnać nieproszone myśli. Nie ma najmniejszego znaczenia, jak uśmiecha się Stephen Prescott. Ani do kogo. Usiłowała skupić się na rozmowie. Prescott wyjaśniał, że Semco Oil jest stosunkowo młodą firmą, która bada nowe tereny.

- Jeździmy tam, gdzie wielkie koncerny nie dotarły. W miejsca odległe, dzikie, nie zamieszkane.

- Ciężkie życie - komentował Gerald.
- Cóż, nie ma tam ekskluzywnych hoteli...

Ani szkół, dokończyła Marcy w myślach, wciąż analizując sytuację pod kątem dobra dzieci.

- Odpowiada panu takie życie? - spytała.
- Owszem - odpowiedział, nie odrywając się od jedzenia. - Lubię wolność, przestrzeń, uczucie, że nie jestem ograniczany przez budynki czy ludzi.

Marcy przypomniała sobie swoje pierwsze wrażenie na widok Stephena Prescottta - człowiek, który lubi otwartą przestrzeń.

- Chyba nie czułbym się tam dobrze - zastanawiał się Gerald.

- Ma to pewne zalety... - Steve zawahał się. - Czujesz się bliższy natury. Nie wiesz, co znaczy zachód słońca, jeśli nie widziałeś, jak znika ono za Andami, całe czerwone, złote, purpurowe. Piękne. - Przerwał na moment, nieco zawstydzony. - Tak, lubię takie życie. Gdyby nie węże...

- Węże! - Marcy niemal zakrzuszyła się winem.

- Naprawdę. - Gestykulował z ożywieniem. - Wyobraźcie sobie, że w zeszłym tygodniu miałem właśnie wkładać buty, gdy zobaczyłem w jednym z nich żmiję.

- O, kurczę. Co pan zrobił?

- Rzuciłem butem w drugi kąt namiotu i wskoczyłem na łóżko.

Jak przedszkolak.

Marcy poczuła, że po plecach przebiegł jej dreszcz. Tymczasem Gerald był rozbawiony całą historią. Stephen pokiwał głową.

- Śmieję się pan, śmieję. Wszyscy faceci to robią, bo wiedzą, że śmiertelnie boją się węży.

- Nie bez powodu - zauważyła Marcy. - Wiele węży jest jadowitych. - Czy on zamierza zabrać dzieci tam, gdzie są jadowite węże? - Często je pan widuje?

- Węże? Raczej tak. - Nachylił się w jej stronę. - Wie pani, niektórzy zajmują się wydobyciem dwadzieścia lat i nigdy nie widzieli węża. Ja widziałem dziewięć - w tym roku. W zeszłym miesiącu, w Kenii, zbierałem drewno na ognisko. Podniosłem stos gałęzi, a na wierzchu siedziała wielka żmija. Rzuciłem wszystko i przenieśliśmy się w inne miejsce. Nie mam nic przeciwko czworonogom ani innym stworzeniom, ale nie znoszę węży. - Potrząsnął głową. - Nie można im ufać. Jak kobietom.

Jak kobietom? Powiedział to półgłosem, Marcy nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

- Chyba już dosyć was znudziłem. - Wstał od stołu. - To do-
prawdy bardzo uprzejme z państwa strony, że zaprosiliście mnie do
waszego stolika. Miałem ciężki dzień, muszę się położyć. Cieszę
się, że pana poznałem, panie Sims. Jutro o wpół do jedenastej,
panno Wilson. Dobranoc.

- Dobranoc.

Marcy nie odrywała od niego wzroku, próbując uporządkować
wzburzone emocje. Było w nim coś... pociągającego. Oto mężczy-
zna, który ma odwagę przyznać się do strachu. Węże... jak kobie-
ty. .. nie można im ufać.

- Wygląda na fajnego faceta.

- Słucham? - Głos Geralda wyrwał ją z zamyślenia. - Chyba
masz rację.

- Jedz - upomniał ją. - Nie zjadłaś nawet połowy.

Marcy jednak straciła apetyt.

- Nie trzeba - powiedziała pani Sutton, gdy chcieli uregulować
rachunek. - Ten miły pan za wszystko zapłacił.

ROZDZIAŁ TRZECI

Marcy przysłała do biura doktora Jacksona przed dziewiątą, ale on pojawił się dopiero pół godziny później i natychmiast wyszedł ponownie. Nie miała więc okazji porozmawiać z nim o zachowaniu Jimmy'ego. Chciała przekonać doktora, że agresywność i nieposłuszeństwo chłopca są rezultatem samotnego, pełnego lęków dzieciństwa.

- Na litość boską, Marcy, ten człowiek jest psychiatrą. Nie sądzisz, że sam potrafi postawić diagnozę? - Jo potrząsnęła głową.
- Nie możesz prowadzić wszystkich dzieci za rękę. Pozwól im uczyć się na błędach. Idź już lepiej, Stephen Prescott czeka na ciebie od godziny.

- Miał przyjść o wpół do jedenastej!

- Wyraźnie przygasał na wieść, że ciebie nie ma. Posadziłam go w twoim pokoju.

Tymczasem Stephen Prescott wcale nie siedział. Przeciwnie, chodził niecierpliwie w tę i z powrotem, przeklinając pod nosem nieobecną Marcy. Gdzie się podziewa Panna Skrupulatna? Wczoraj chciała jak najszybciej zamknąć biuro, żeby zdążyć na randkę, nie mogli więc nic załatwić. Nie nalegał. Przyszedł natomiast z samego rana. Chciał raz-dwa skończyć sprawy papierkowe, zabrać dzieci i wyjechać. Przełożył spotkanie w Nowym Jorku na jutro, na piętnastą. Zdąży na nie pod warunkiem, że rano wyleci z Sacramento. Gdzie ona, u licha, jest?

Wziął z biurka przycisk do papieru, obejrzał, odstawił na miej-

sce. Ale gorąco! Nie mają tu klimatyzacji? Zdjął marynarkę, rzucił na krzesło, poluzował krawat. Stał nieruchomo z rękami w kieszeniach, przyglądając się rysunkom na ścianie. Trzy czarno-niebieskie misie namalowane palcem maczanym w farbie. Krzywy dom i dym z komina, obok nieokreślona plama. Kot? Dziecinne bazgrały. Pomyślał o dzieciach Diany i poczuł ucisk w gardle. Jak wyglądają? Czy też robią takie rysunki?

Diano... Tak mi przykro, że to się stało. Cieszę się, że byłaś szczęśliwa. Przepraszam, że wtedy odszedłem, ale... Pani Mason lubiła cię i powinna być dla ciebie dobra. Musiałem stamtąd uciec. Musiałem. Nigdy tego nie zrozumiałaś, wiem. Teraz naprawię mój błąd. Dzieci będą miały wszystko. Nikt nie będzie przerzucał ich z miejsca na miejsce, jak kiedyś nas. Naprawię wszystko, Diano...

- Dzień dobry. Podziwia pan moją kolekcję?

Próbował zapanować nad wzruszeniem, wywołanym wspomnieniem dzieciństwa jego i Diany.

Odwrócił się w jej stronę i skamieniał. Wyglądała świeżo, pogodnie, absolutnie olśniewająco w delikatnej, zielonej sukience, która sprawiała, że jej duże, niebieskie oczy wydawały się mieć ten sam kolor. Gęste, ogniście miedziane włosy delikatnie okalały jej niepospolitą twarz. Znał ten typ, a jakże! Pewnie cały ranek się stroiła, a teraz uśmiecha się promiennie i marnuje czas na pogaduszki.

- Wszystkie są oryginalne.

- Co?

- Rysunki. Pierwsze próby młodych artystów... Przykro mi, że musiał pan czekać, ale przecież uprzedziłam pana, że byłam wcześniej umówiona na inne spotkanie.

- Widocznie zapomniałem. Przyszedłem wcześniej, żeby szybko załatwić wszystkie sprawy i wziąć dzieci. Jutro rano muszę lecieć do Nowego Jorku.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?
- Nie może pan dzisiaj zabrać dzieci. - Zdjęła torebkę z ramienia i postawiła na biurku.

- Dlaczego nie?
- Zdaje się, że już to panu tłumaczyłam. - Mówiła spokojnym tonem, starając się ukryć rozdrażnienie. - Są pewne procedury.

- W porządku. - Wskazał na biurko. - Może wyjmie pani potrzebne papiery i zrobi, co trzeba, żebym mógł wreszcie stąd wyjechać?

- Ależ ja pana nie zatrzymuję. Dzieci jednak muszą zostać na miejscu.

- Dlaczego?

Wpatrywał się w nią tak złowrogo, że poczuła lęk. Oparła się o biurko, żeby dodać sobie pewności, i powiedziała opanowanym głosem:

- Jak panu wcześniej mówiłam, najpierw trzeba zrobić pewne rzeczy.

- Więc je zróbmy. - Uniósł w górę ręce w geście zniecierpliwienia. - Proszę posłuchać, przyjechałem zaraz po pani telefonie. Teraz, kiedy jestem na miejscu, trzyma mnie pani beczynniami dniami.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że zjawił się pan tutaj wczoraj wieczorem, kiedy biuro było właściwie zamknięte.

- Zjawiłem się tu półtorej godziny temu i cały czas czekałem na panią!

- Był pan umówiony na dziesiątą trzydzieści. - Spojrzała na zegarek. - Właśnie mamy tę godzinę. - Co za niezdolny człowiek! Jak mogła myśleć, że jest miły? - Przygotowałam wszystko, żeby mógł pan jeszcze dziś odwiedzić dzieci.

- Ja wcale nie chcę ich odwiedzać. Zamierzam zabrać je ze sobą.

Marcy chwyciła się biurka, próbując odzyskać spokój.

- Wydaje mi się, że wczoraj wieczorem ustaliliśmy, że trzeba dać dzieciom szansę poznania pana.

- To pani tak postanowiła. - Bawił się nerwowo monetami, które miał w kieszeni spodni. - Zaznajomią się ze mną, bo będziemy razem mieszkać.

- Być może - powiedziała mimo woli.

- Co to znaczy „być może“?

- Musi pan napisać podanie o ustanowienie pana prawnym opiekunem. Wcześniej jednak konieczne jest udzielenie odpowiedzi na kilka pytań i dostarczenie referencji.

- Dobrze, ale wyjaśnijmy na początku jedną rzecz: wezmę dzieci.

- Prawdopodobnie.

- Nie, nie prawdopodobnie. Na pewno. Jestem jedynym żyjącym krewnym. To chyba daje mi jakieś prawa?

- Nie przeczę, ma pan pierwszeństwo.

- W porządku. Niech pani da mi papiery, które mam podpisać. Potem zabiorę dzieciaki i nie będziemy musieli spotykać się więcej.

Marcy załamała rękę.

- Może pan to podpisać, ale i tak nie dostanie pan dzisiaj dzieci.

- Jeszcze zobaczymy, czy nie dostanę.

- Zobaczymy. - Rzuciła się w stronę szuflady w biurku, otworzyła ją mocnym szarpnięciem i wyjęła odpowiedni druk. Następnie z przesadną starannością położyła kwestionariusz przed nim. - Będzie pan uprzejmy wypełnić ten formularz.

Kiedy skończył, wyjęła z szuflady kolejny druk, tak zwany kwestionariusz osobowy i zaczęła odczytywać kolejne pytania.

- Imię i nazwisko?

- Co takiego? - Podniósł na nią zdziwione spojrzenie.

- Proszę podać pełne imię i nazwisko.

- Stephen Alan Prescott.

- Wiek?

- Trzydzieści dwa lata.
- Zawód?
- Pracuję przy ropie.
- Proszę o bardziej konkretną odpowiedź.
- Wiceprezes Semco Oil Company.

Marcy czytała dalej rutynowe pytania i kiedy skończyła, wyprostowała się powoli w fotelu. Przez moment mierzyli się wzrokiem. W końcu Prescott gwałtownie odwrócił głowę.

- Oto moje podanie. - Rzucił formularz w jej stronę. Podniosła go i spojrzała na rubrykę „Powody ubiegania się o adopcję”. Dużymi, drukowanymi literami napisał: „Jestem jedynym żyjącym krewnym. Chcę wziąć dzieci. Mam odpowiednie środki, aby się nimi zaopiekować”.

- Czy to wszystko? - zapytał, nie kryjąc zdenerwowania.
 - Tak, ale...
 - Tu są nazwiska osób, które mogą potwierdzić moje referencje.
 - Wskazał odpowiednie miejsce na formularzu. - Proszę zaraz do nich zadzwonić i sprawdzić.

- Panie Prescott, procedury postępowania są nieco inne. Chodzi o coś więcej niż rozmowa przez telefon. Do każdej z tych osób muszę wysłać kwestionariusz, aby go wypełniła i podpisała. Dopiero kiedy dostanę je z powrotem, mogę rekomendować pana sędziemu.

- No nie, to już lekka przesada. - Klepnął się dłonią w czoło.
 - Najpierw wypytuje mnie pani o wszystko, co się da, a potem mówi, że będzie rozsyłać po kraju listy, aby potwierdzić moją wiarygodność. Nie wierzę własnym uszom.

- Takie są zasady, panie Prescott. Ja ich nie ustanawiam, ale muszę przestrzegać. Na tym polega moja praca.

- Zasady! Nie może pan tego, nie może pan tamtego. Pani po prostu nie chce, abym wziął te dzieci! - Poderwał się z krzesła w nagłym wybuchu złości.

Marcy spojrziała na niego, czując narastające wyrzuty sumienia. Czyżby czytał w jej myślach? Musiała przyznać w duchu, że z niechęcią odnosiła się do pomysłu oddania Ginger i Daveya w ręce tego nerwowego człowieka, który mówił o nich jak o paczce czekającej na odbiór. Postępowała jednak zgodnie z przepisami.

- Nie ja będę podejmować decyzję w tej sprawie - zauważyła oschłym głosem.

- Wygląda jednak na to, że ma pani dużo do powiedzenia.

- Nerwowym ruchem przegarnął ręką włosy. - Pędzę przez pół świata, żeby zaopiekować się dziećmi, i co się dzieje? Grzęznę w bzdurnych papierach.

- Przykro mi, że odnosi pan takie złe wrażenie o naszej pracy.

- Marcy robiła wszystko, aby zachować się profesjonalnie, tak jak uczono ją na kursach. - Jeśli pan pozwoli, chciałabym uściślić kilka pańskich odpowiedzi. Po pierwsze, wpisał pan numer skrzynki pocztowej zamiast adresu zamieszkania.

- Widzi pani, mam apartament w Nowym Jorku, ale rzadko tam bywam, więc lepiej zostawiać korespondencję na poczcie.

- Rozumiem. Czy jest pan zameldowany w Nowym Jorku? Potaknął ruchem głowy.

- Ile pokoi jest w pana mieszkaniu?

- Ile pokoi? O co pani chodzi?

- Jeśli zamierza pan mieszkać tam z dziećmi, musimy wiedzieć, czy lokal odpowiada ustalonym standardom. Zanim sąd przyzna panu opiekę nad dziećmi, pracownik naszej organizacji musi obejrzeć mieszkanie.

- Nie wierzę własnym uszom! Nie wierzę! - Jego rozpacz była tak autentyczna, że nagle Marcy przestała się na niego złościć.

- Panie Prescott, wiem, że panu może się to wydawać zbędne, ale musimy być ostrożni, trzeba w takich sprawach działać z namyśłem i powoli.

- Trafiała pani w sedno. - Pochylił się nad biurkiem, pukając

palcem w blat. - Gdybym prowadził swoją firmę w równie ślimaczym tempie, dawno bym zbankrutował.

- Nie jesteśmy firmą! - Marcy skoczyła na równe nogi i wbiła wzrok w mężczyznę. - Nie chodzi nam o biznes, ale o ludzkie życie. W tej chwili mówimy o trzech konkretnych osobach.

- Trzech?

- Owszem. O Ginger, Daveyu i... o panu.

- O mnie? - Zmarszczył brwi, nic z tego nie rozumiał.

Marcy spokojnie pokiwała głową.

- Tak, o panu. Czy zastanowił się pan nad tym, jak dwoje małych dzieci może zmienić pański styl życia?

- Proszę mnie nie straszyć. Znam dzieci.

- Wie pan, co oznacza stała opieka nad nimi? Potrzebne są szkoły, i...

- Zajmę się tym.

- W jaki sposób?

W jego spojrzeniu i zaciętym wyrazie twarzy można było dostrzec pogardę.

- Szanowna pani pozwoli, że sam o tym zdecyduję.

- Niestety, ja również mam tu coś do powiedzenia. - Ołówek, który trzymała w ręku, pękł nagle i Marcy przyglądała się mu zaskoczona. Potem, zatrzymując wzrok na Prescottcie, próbowała się uspokoić. Jest prawie pewne, że jako chętny i zdolny do tego wujek, uzyska aprobatę sądu. Trzeba jednak uświadomić mu specjalne potrzeby dzieci. On ze swej strony powinien dowieść, że jest w stanie je zaspokoić. Już Marcy o to zadba! Na szczęście prawo stoi po jej stronie. - Panie Prescott, musi pan przekonać sąd, iż potrafi zapewnić dzieciom odpowiednie warunki. Dokąd chce pan je zabrać? Kto będzie się nimi opiekował?

- Ja zamierzam się nimi zająć! Z jakiego innego powodu miałbym tu przyjeżdżać?

- Kto będzie dbał o dzieci, gdy pan wyjedzie do Peru?

- Czy pani sądzi, że w Peru nie ma dzieci?

- Zamierza pan wozić je z sobą?

- Nie wiem.

- Cóż, my musimy o tym wiedzieć, zanim polecimy pana jako opiekuna.

- Psiakrew! Dlaczego w ogóle mówimy o Peru? - Przez chwilę chodził niespokojnie po pokoju. W końcu spojrzał na Marcy. - Nie wiem, kiedy znów tam pojedę. Może za kilka lat. Cała nasza rozmowa sprowadza się do jednego: nie pozwoli mi pani zabrać dzisiaj dzieci.

- Owszem.

- Czy mógłbym otrzymać tymczasową opiekę, dopóki nie załatwicie spraw papierkowych?

- W żadnym wypadku - odpowiedziała bez wahania. - Może je pan odwiedzać, ale nie wolno panu ich zabierać, zwłaszcza poza granice stanu.

- Chciałbym porozmawiać z kimś innym. Kto jest pani zwierzchnikiem?

- Pani Stanford.

- Czy mogłaby pani poprosić ją tutaj?

Bez słowa podniosła słuchawkę. Czekali w zupełnej ciszy. Kiedy kierowniczką weszła do pokoju, Marcy obróciła się na fotelu twarzą do okna, jakby chciała odciąć się od całej sprawy.

Stephen speszył się nieco na widok niewysokiej, ale zdecydowanej kobiety, która przyglądała się mu zza okularów.

- Nazywam się Jo Stanford. Czy to pan chciał ze mną rozmawiać?

- Stephen Prescott, wujek Nelsonów. Rozmawiałem z panną Wilson - zawahał się na moment, spojrzał w stronę Marcy, która nadal spoglądała w okno - i, zdaje się, nie możemy dojść do porozumienia. Szukała mnie dosyć długo, za co, hm, jestem jej wdzięczny. - Jeszcze raz popatrzył na plecy Marcy. - Teraz jednak, kiedy

już przyjechałem, zarzuciła mnie stosem papierów. Doprawdy, nie mam na to czasu. Jestem gotów zrobić, co trzeba, dostarczyć potrzebne dokumenty, ale chciałbym załatwić to w miarę szybko i zabrać dzieci. Najlepiej od razu, póki tu jestem.

- Rozumiem pana, panie Prescott, ale... Usiądźmy i omówmy wszystko po kolei. - Kiedy zajmowali miejsca, rzuciła okiem na Marcy, następnie skierowała wzrok z powrotem na niego. - Czy panna Wilson nie wyjaśniła panu, że istnieją pewne procedury postępowania? Że musimy sprawdzić pańskie referencje i...

- Podąłem jej nazwiska osób, do których może się zwrócić. Prosiłem, aby się pospieszyła, jednak ona nie chce zadzwonić. Zresztą najważniejszym argumentem jest fakt, iż jestem wujkiem tych dzieci. Czy to nie wystarcza?

- Niestety, nie. Trzeba wziąć pod uwagę również inne rzeczy.

- Doprawdy nie rozumiem! - Aż podskoczył na krześle. - Kiedy zadzwoniła, przyjechałem natychmiast. Sądziłem, że już podjęliście decyzję o powierzeniu mi opieki nad dziećmi.

Niecierpliwiał się, słuchając tych samych wyjaśnień, których wcześniej udzieliła mu Marcy. Milczał przy tym uparcie, od czasu do czasu kręcąc głową. W końcu Jo westchnęła zrezygnowana.

- Panie Prescott, prawo stanu Kalifornia wymaga od nas stosowania się do tych reguł - mówiła wolno, wyraźnie akcentując każde słowo. - Nie jest to nasz wymysł. Chodzi o dobro dzieci.

Skoczył na równe nogi.

- Prawo stanowe, tak? To się da załatwić, trzeba tylko skontaktować się z odpowiednią osobą. Zadzwonię do mojego adwokata. On zna gubernatora.

Marcy odwróciła się nagle i poderwała z fotela. Zaskoczeni, spojrzeli w jej stronę.

- Panie Prescott, wydaje mi się, że kochał pan swoją siostrę.

- Oczywiście - odpowiedział, nieco zdziwiony.

- Dlatego kocha pan, a właściwie czuje się zobowiązany kochać także jej dzieci.

- Tak. - Tym razem mówił cicho, przyglądając się Marcy szeroko otwartymi oczami.

- Ja również je kocham. Znam je ponad dwa lata i jestem do nich bardzo przywiązana. - Mówiła drżącym głosem, Stephens zaś zdziwiły napływające jej do oczu łzy. - Nie pozwolę, słyszy pan, nie pozwolę nikomu ich skrzywdzić. Szczególnie panu!

- Ależ ja nie mam zamiaru. Nie mógłbym ich skrzywdzić. Po prostu chciałem... - Zaskoczony oskarżeniem, próbował się tłumaczyć, ale mu przerwała.

- Chciał pan... zabrać dzieci. To pańskie ulubione słowo. Wciąż słyszę to zdanie: „Chcę zabrać dzieci”. Zabrać! Zabrać! Zabrać! Zabrać je stąd i wyjechać do swoich interesów! Zaciągnąć je na jakieś spotkanie w Nowym Jorku i, Bóg jeden wie, gdzie jeszcze! Nie zamierza pan przeszkadzać sobie w interesach, żeby dać dzieciom możliwość odnalezienia się w nowej sytuacji.

- Ale... - Próbował coś powiedzieć, jednak Marcy nie dopuściła go do głosu.

- Czy pomyślał pan, jak one się czują? Czy potrafi pan wyobrazić sobie policjanta, który przychodzi do nich i mówi, że ich rodzice nie żyją? Biedna Ginger nadal nie rozumie, co to znaczy. Wciąż czeka, że ktoś zabierze ją do mamy. - Łzy spływały jej po policzkach. Prescott zaoferował swoją chusteczkę. Marcy odepchnęła jego rękę, wyjęła chusteczkę ze stojącego na biurku pudełka i otarła oczy.

- Zdaję sobie sprawę, jak one muszą się czuć. Dlatego przyjechałem tak szybko.

Marcy zdawała się nie słyszeć jego słów.

- A jak się czuły, gdy jakaś zupełnie obca kobieta wzięła je do samochodu i zawiozła do innych obcych ludzi? - Mówiła jak w transie. - I teraz, kiedy właśnie zaczynają... zaczynają, podkre-

ślam, przyzwyczajając się do tamtych ludzi, zjawia się pan, żeby znowu zabrać je w inne miejsce! Nigdy wcześniej pana nie widziały. Jak będą się czuły, kiedy... Och, gdyby zależało panu na nich, wiedziałby pan, że... że... - Głos uwiązał jej w gardle.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie wierzył własnym oczom. Ona naprawdę płakała. Jakby Prescott był diabłem we własnej osobie czyhającym na biedne dzieci, aby zawlec je do bram piekła. Czy nie dostrzegą w nim kochającego wujka, który, podobnie jak ona sama, troszczy się o ich dobro? Czy nie rozumiała, że przyjechał tutaj, ponieważ sądził, że dzieci będą go potrzebowały?

- Może teraz pani posłucha, co mam do powiedzenia.

Milczał jednak, nie mogąc znieść widoku roztrzęsionej Marcy, która bardzo starała się opanować, ale powstrzymywane łzy sprawiały, że jej oczy mieniły się przeróżnymi odcieniami zieleni.

- Przepraszam. Nie powinnam tak mówić - szepnęła, a Stephen patrzył na żyłę pulsującą na jej szyi. - Ja... Chciałabym tylko pomóc Ginger i Daveyowi. Gdybym...

Odwróciła się gwałtownie, aby ukryć rozpacz, równie szczerą i głęboką jak jego własny ból. Poczul nagłą chęć przytulenia jej. Chciałby wziąć ją w ramiona, położyć jej głowę na swojej piersi i powtarzać, że wszystko będzie dobrze. A niech to! Przecież tak właśnie będzie!

- Panie Prescott, sądzę, że powinien pan najpierw spotkać się z dziećmi. - Głos kierowniczkii wyrwał go z zamyślenia, zupełnie zapomniał o jej obecności.

- Tak - odparł. - Chyba tak.

- One potrzebują trochę czasu, aby pana poznać. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Naprawdę doceniamy, że pan przyjechał

i postaramy się załatwić tę sprawę jak najszybciej. - Mówiła bardzo szybko, niemal jednym tchem. Wiedział, że chce w ten sposób dać Marcy czas na ochłonięcie. - A teraz... - Zdjęła okulary i uśmiechnęła się. - Sądzę, że chciałby pan zobaczyć dzieci. Panna Wilson planowała zabrać pana do nich dziś przed południem.

- Owszem. - Miał jednak dziwne uczucie, że Marcy wcale nie chciała, aby on z nią jechał, w ogóle wolałaby, żeby trzymał się od dzieci z daleka.

- Chodźmy już, jeśli rzeczywiście mamy tam jechać. - Zabrała torebkę i nie patrząc na niego, wyszła szybko z pokoju.

Stephen podążył jej śladem, zatrzymując się na chwilę przy Jo, aby jej podziękować. Za co? Nie był wcale pewien, czy ma powód do dziękowania.

Marcy milczała przez całą drogę, jedynie od czasu do czasu wskazywała kierunek jazdy. Zaproponował, żeby pojechali jego samochodem, gdy zobaczył zdezelowanego volkswagena. Za nic nie chciałby gnieździć się w czymś takim. I bez tego był wystarczająco zmęczony. A jeszcze ta scena w biurze! Jak może udowodnić, że jest w porządku? Spojrzał na Marcy. Łzy obeschły, ale wciąż wyglądała na przygaszoną. Zupełnie niepodobna do owej eleganckiej kobiety, która godzinę temu powitała go promiennym uśmiechem. Tak by chciał przywrócić jej pogodę ducha, ale co powinien powiedzieć?

- Panno Wilson, proszę nie martwić się o dzieci - szepnął, patrząc przed siebie. - Będę dla nich dobry. Wie pani, że kochałem Dianę i...

- Wiem - odpowiedziała bezbarwnie.

- Przyznaję, nie jestem idealnym kandydatem na ojca.

Milczała, a on coraz bardziej się denerwował.

- Przykro mi, że usiłowałem panią poganiać, ale jutro rano muszę być w Nowym Jorku. Nie mogę już dłużej odkładać tego spotkania.

- Rozumiem.

Akurat! Nic nie rozumiesz, myślał poirytowany. Zawzięłaś się na mnie. Uważasz, że jestem twardym biznesmenem, który próbuje wcisnąć dzieci w wolne chwile między zebraniem. Już dwa razy odkładałem to spotkanie. Rzuciłem wszystko, żeby tu przyjechać, a tam czeka transakcja warta sześć milionów. Czekają na moją decyzję. Nie mogę dłużej zwlekać.

- Cóż - powiedział na głos - skoro nie ma możliwości ominięcia całej tej biurokracji, to chyba nie uda mi się dzisiaj zabrać dzieci.

- Przyznawał się do porażki i bardzo go to złościło. Nie miał jednak wyboru. - Wygląda na to, że będę musiał pojechać do Nowego Jorku, a potem wrócić tutaj.

- Jaka szkoda, że się pan tak bardzo fatyguje.

Kpiła z niego? Rzucił jej krótkie spojrzenie, ale nie potrafił niczego wyczytać z jej twarzy. Wyglądała przez okno.

- Muszę jechać. To moja praca.

- Proszę skrócić w prawo.

Zmienił pas i skręcił zgodnie z instrukcją.

- Na najbliższym skrzyżowaniu znowu w prawo.

Jechali przez niewielką dzielnicę z zabudową szeregową. Niektóre domy były świeżo pomalowane, a trawniki przed nimi dobrze utrzymane. Z innych odpadała farba, miały zwichrowane drzwi i chwasty zamiast trawy.

- Dlaczego wybrała pani taką dzielnicę? - zapytał na widok kilku zepsutych samochodów stojących przed jednym z budynków.

- Wybieram ludzi, a nie dzielnice. Proszę skrócić.

Nagle zrobił się niespokojny. Dzieci Diany... Wcale go nie znają. Nie widzieli się nigdy w życiu. Żałował teraz, że nie przyjechał ich odwiedzić, kiedy Diana żyła i wszyscy byli szczęśliwi. Chciałby, żeby ucieszyły się na jego widok.

- Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przed jednym z lepiej utrzymanych domów, cho-

ciaż i tu widać było oznaki ubóstwa. Nie powinien się temu dziwić. Ludzie, którzy opiekowali się cudzymi dziećmi nigdy nie byli bogaci, wiedział o tym dobrze. Bolesne wspomnienia z dzieciństwa zaczęły ożywać w jego pamięci. Podenerwowany, poluzował krawat, czując, że niemal się dusi.

Tamtego roku ojciec nie mógł znaleźć żadnej opiekunki, umieścił więc ich u Cooksonów. Stephen wciąż pamiętał piskliwy głos pani Cookson i jej chude palce na swoim ramieniu, kiedy wbijała w niego surowy wzrok. „Trzymaj buzię na kłódkę, rozumiesz? Nie wolno mówić panu Cooksonowi, że twój tato był tu dzisiaj”. Tego dnia ojciec przyniósł pieniądze, o które Cooksonowie toczyli wieczną wojnę. Stephena przerażały ich krzyki, zabierał wtedy Dianę i uciekali w najdalszy kąć podwórza. Pewnego razu tato zostawił pieniądze na nowe tenisówki i...

- Dzień dobry, panno Wilson. Już myśleliśmy, że pani nie przyjedzie. - Niska, smutna kobieta z niemowlęciem na rękę otworzyła drzwi. Weszli do niedużego, schludnego pokoju. Stephen rozglądał się, ale nie dostrzegł śladu dzieci.

- Witaj, Tino. - Marcy pogłaskała dziecko po policzku i pocałowała pulchną rączkę. - Jak się miewa maleństwo? Nadal płacze?

- Lepiej znosi ząbkowanie, odkąd kupiliśmy specjalny żel.

- Kobieta spojrzała w stronę nieznanego.

- Pani Sara Jones - przedstawiła ich Marcy. - A to jest pan Stephen Prescott, wujek małych Nelsonów.

- Jak dobrze, że pan przyjechał. - Pani Jones wyciągnęła do niego spracowaną dłoń. - Biedactwa naprawdę pana potrzebują.

- Dziękuję - odpowiedział z uśmiechem. - Miło, że ktoś się cieszy z mojego przyjazdu - dodał, nie patrząc na Marcy. Pani Jones nie zrozumiała aluzji.

- Siądźcie na moment, Zaraz przyprowadzę dzieci. Ubrałam je przed obiadem w czyste rzeczy, ale jak to dzieci. - Znikła w głębi domu.

Stephen spojrział na Marcy i napotkał jej gniewny wzrok.

- Niech pan nie będzie śmieszny - rzuciła. - Oczywiście, że się cieszę z pańskiego przyjazdu. Za nic w świecie nie chciałabym, żeby dzieci Diany były przerzucane od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Chciałabym jednak dostrzec w panu więcej... więcej...

- Wrażliwości? - podpowiedział.

- Hm... chyba tak.

- Nie ufa mi pani, prawda? Uważa, że...

- Marcy! - Malutka dziewczynka wpadła jak burza do pokoju i rzuciła się prosto w ramiona Marcy. Stephen zdążył jedynie dostrzec jej jasne loki i nieco przybrudzone ogrodniczki. Patrząc na to dziecko, poczuł niepokój. Jest taka mała...

Chłopiec szedł powoli, powłócząc nogami. Usiadł na brzegu krzesła, pod przeciwległą ścianą. Trzymał coś w ręku. Kawałek deski? Ścisnął ją mocno, jakby szukał w niej oparcia. Nie mówił nic, tylko przenosił wzrok z Marcy na Stephena i odwrotnie. Oczy mężczyzny wypełniły się łzami, poczuł ukłucie w sercu. Davey był niezwykle podobny do Diany - ciemne oczy i włosy, charakterystyczna linia ust. Takie samo uważne spojrzenie. Koszulka była jak zatknięta za pasek spodni, jeden but nie zawiązany. Jak Diana.

- Marcy - żaliła się dziewczynka - Davey i Troy nie chcą się ze mną bawić.

- Nie może wejść do naszego domu na drzewie - tłumaczył Davey. - Jest za mała.

- Wcale nie! - Odwróciła się w stronę brata, jedną ręką próbowała ułożyć zwichrzone włosy.

Stephen zauważył, że miała brudną buzię, ale była bardzo ładna. I niepodobna do Diany.

- Ginger, mówiłem ci, że robimy schody. - Podniósł w górę kawałek deski. - Jak skończymy, będziesz mogła wejść.

- Dobra. - Znów patrzyła na Marcy. - Przyniosłaś Lili Ann?

- I wywrotkę? - zapytał Davey. - Razem z Troyem kopimy tunel i przydałaby się nam.

- Poczekaście chwilę - przerwała mu. - Już wam mówiłam, że nie mogę wejść do waszego domu. Ale wujek może to zrobić.

Ginger, Davey, to jest wasz wujek Stephen. Pamiętacie, mówiłam kiedyś, że przyjedzie was odwiedzić.

- Cześć - uśmiechnął się Stephen.

Marcy zapomniała już ten uśmiech - ciepły, szczery, a jednocześnie jakby bezbronny. Wyczuwała jego podenerwowanie i miała nadzieję, że dzieci go zaakceptują.

- Co to jest wujek?

- Brat waszej mamusi - wyjaśniła Marcy. - Tak jak Davey jest twoim bratem.

- Kocham was i chciałbym się wami zaopiekować. - Steve klęknął przed Ginger. - Czy zgodzicie się zamieszkać ze mną?

- A zabierzesz nas do mamusi?

Rzucił Marcy przerażone spojrzenie, odpowiedziała więc za niego.

- Kochanie, wujek nie może tego zrobić - tłumaczyła, głaszcząc Ginger po głowie i próbując mówić opanowanym głosem.

- Ale bardzo was kocha, tak samo, jak mamusia i tatuś.

Poczuł ulgę i ogromną wdzięczność wobec Marcy. Przemówił znów do dziewczynki:

- Moglibyśmy chodzić w różne miejsca i... - Patrzył też na chłopca, włączając go w swoje plany. - Robilibyśmy we trójkę różne rzeczy. Bawilibyśmy się.

- Kupisz mi konika? - Ginger zaskoczyła go swoim pytaniem, ale nie dała mu czasu na odpowiedź. - Marcy zabrała nas do parku. I jeździłam na koniku. Całkiem sama. Wcale się nie bałam i nie płakałam, prawda, Marcy?

- Prawda.

- Widzisz? - przekonywała wujka. - Wcale się nie boję. Lubię koniki.

- Cóż, musimy więc pomyśleć o koniku - roześmiał się Stephen Prescott.

Ta rozmowa najwyraźniej zainteresowała Daveya, który zszedł ze swojego krzesła, podszedł do mężczyzny i patrząc mu prosto w oczy, zapytał:

- Masz jakieś konie?

- Nie, ale...

- To chyba zostaniemy tutaj. Lepiej zostać, Ginger.

Marcy spojrzała na Stephena. Był zupełnie załamany.

- Ale ja jestem waszym wujkiem. Chciałbym... - Przerwał, gdy Marcy dotknęła jego ramienia.

- Dzieci, pomyślcie o tym. Porozmawiamy później - powiedziała szybko. - Wujek i ja przyjedziemy do was niedługo. Pożegnajcie się z nim.

- Marcy, możemy iść z tobą do domu? - zapytała Ginger.

- Nie, kochanie. Jeszcze nie teraz. Może w sobotę. Chodź i daj mi całusa na pożegnanie.

Dziewczynka zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała serdecznie. Potem uściskała Stephena. Kompletnie zaskoczony, omal się nie przewrócił, na co Ginger zareagowała radosnym chichotem.

- Następnym razem musisz mnie ostrzec - powiedział ze śmiechem:

Davey był mniej wylewny. Wciąż z deską pod pachą podszedł do Marcy i pozwolił się pocałować. Potem, bardzo poważny, uściśnęła dłoń wujka. Marcy chciała jeszcze powiedzieć coś Troyowi, wyszła więc z dziećmi z pokoju.

Stephen patrzył zamyślony na wychodzących. Do tej pory myślał o nich „dzieciaki”. Dzieci Diany, którymi nagle przyszło mu się zająć. Przed chwilą poznał dwie, zupełnie różne osobowości. Żywiołą, otwartą, obdarzoną burzą złotych loków dziewczynkę, która, mimo że była mała, doskonale wiedziała, czego chce i nie wahała się o tym powiedzieć. W jaki sposób mógłby wytłumaczyć,

co się stało z jej mamusią? Z kolei Davey - cichy, zamyślony, poważny niczym dorosły mężczyzna, chociaż przecież był dzieckiem, budował domy na drzewie i kopał tunele. „Lepiej zostańmy tutaj, Ginger”. Stephena ogarnęła panika. A jeśli nie zechcą z nim zamieszkać?

- Możemy iść. - Głos Marcy wyrwał go z zamyślenia.

- Dziękuję za przyście, panie Prescott. - Pani Jones, wciąż z dzieckiem na rękach, pożegnała go skinieniem głowy. - Chyba niedługo znów się zobaczymy.

- Oczywiście. Ja również dziękuję - odpowiedział.

Szli już w stronę samochodu, kiedy dobiegło ich wołanie Ginger.

- Marcy, nie zapomnij o Lili Ann!

- Nie zapomnę! - przyrzekła Marcy.

- Kim jest Lili Ann? - spytał Stephen, kiedy wsiadali do samochodu.

- To lalka, którą Ginger dostała na Gwiazdkę. Nie mogliśmy wejść do mieszkania, żeby wziąć zabawki dzieci. Może pan... wybiera się tam dzisiaj?

- Owszem. O drugiej mam się spotkać z szeryfem Olseyem, żeby odebrać klucze.

Pomyślała, że widok opuszczonego apartamentu Nelsonów będzie dla niego trudnym przeżyciem. Mogłaby mu towarzyszyć. „Marcy, nie możesz angażować się osobiście w każdą sprawę”, przypomniała sobie opomnienia Jo.

- Dobrze by było, gdyby poszukał pan lalki. Powinna być w pokoju Ginger, pod łóżkiem, ale naprawdę może być wszędzie. Jest duża, szmaciana, ma sukienkę w szkocką kratkę i jasną czuprynę.

- Rozumiem. Poszukam jej. - Zdawał się błędzić myślami gdzie indziej. - Panno Wilson, czy dzieci mają wpływ na podejmowanie decyzji?

- Nie rozumiem.

- To znaczy... Przypuśćmy, że... Czy mogą odmówić, nie zechcieć ze mną zamieszkać?

- Cóż, prawdę mówiąc, niewiele mają do powiedzenia. - Przybrała pseudoprofesjonalny ton. - Uważa się, że dzieci poniżej piętego roku życia nie są w stanie podejmować tak poważnych decyzji.

- Dzięki Bogu.

- Obawia się pan odmowy? - zaśmiała się. - Nie ma pan drzewa w swoim apartamencie?

- Niestety. Konika też nie mam. Może mógłbym znaleźć jakiegoś w Central Parku. Ciekawe, czy Ginger dałaby się skusić. Chyba że posłucha brata i...

- Spokojnie. Najpierw muszą pana poznać. Widzieliście się dzisiaj tylko pięć minut. Myślałam, że pójdziemy razem na lunch, ale nie było na to czasu... - zawahała się, potem uśmiechnęła - .. ponieważ przez cały ranek zachowywał się pan niezdolnie.

Rzucił jej niespokojne spojrzenie, ale zaśmiał się, widząc jej minę.

- Hm... Chyba rzeczywiście trochę przesadziłem, prawda?

- Prawda.

- Przez to oboje nic nie jedliśmy. Przepraszam.

- Zawsze można to naprawić. Obok biura jest bar. Szybka obsługa. Zdamy coś zjeść przed drugą.

Stojąc w kolejce przy barze, Marcy rozmyślała, dlaczego zachowuje się tak swobodnie i przyjaźnie w stosunku do Stephena. Rano miała ochotę go pobić, nie mogła na niego patrzeć. Teraz wydawał się... miły. Może z powodu jego reakcji na dzieci? Był nieśmiały, podenerwowany... jakby naprawdę mu zależało. Martwił się, że go nie zaakceptują.

- Przepraszam, że byłem rano taki okropny - powiedział, gdy siadali przy stoliku, żeby zjeść kanapki. - To dlatego, że pędziłem tutaj, oczekując dwojga zrozpaczonych dzieci, przestraszonych, całych we łzach. Zaskoczyło mnie, że są takie spokojne.

- Dzieci umieją radzić sobie w trudnych sytuacjach - wyjaśniła. - Czasem lepiej niż dorośli.

- Na to wygląda. Wydawały się... niemal szczęśliwe.

- To zasługa Sary Jones. Ma dobre podejście do dzieci, od razu czują się jak u siebie. Dlatego zwracamy się do niej w sytuacjach krytycznych.

- W sytuacjach krytycznych?

- Kiedy trzeba szybko zabrać dzieci z ich domów, zwykle w stanie szoku. Jak Ginger i Daveya. - Napila się coli. - Pani Jones opiekuje się też chłopcem, którego matka jest w szpitalu.

Stephen przyglądał się Marcy, kiedy mówiła.

- Pani naprawdę się nimi przejmuje, prawda? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Zawstydzila się nieco.

- Na tym polega moja praca.

- A czyje to niemowlę?

- Tina? Mała była bardzo zaniedbana- wyjaśniła.-Matka zgodziła się oddać ją do adopcji. Mamy już dla Tiny rodzinę zastępczą. Musimy tylko odnaleźć jej ojca i uzyskać jego zgodę.

- Aha. Jeśli tak dokładnie sprawdzacie rodziny zastępcze, jak przyszłych wujków-opiekunów, to każda rodzina musi być doskonała.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, czy żartuje, czy mówi poważnie, ale jego twarz pozostawała nieodgadniona.

- Staramy się. Naprawdę - powtórzyła z naciskiem. - Ale nie zawsze jest idealnie. Zbyt wiele dzieci. Za mało odpowiednich rodzin. - Gdyby mogła, wprowadziłaby zmiany w systemie. Nie powinna jednak przerzucać na Stephena problemów sfrustrowanego pracownika opieki społecznej. - Dochodzi druga. Musi pan iść do szeryfa. - Odłożyła serwetkę na stolik i wstała. - Dziękuję za lunch.

- Proszę zaczekać. - Przytrzymał ją za rękę, a Marcy poczuła niespodziewane przyspieszenie pulsu. - Czy mogę mieć problem?

- Patrzył poważnie w jej oczy. - To znaczy, jeśli sprawdzicie moje referencje, czy będzie kłopot z oddaniem mi moich dzieci?

Jego dzieci. Już myśli o nich, jak o własnych. Zrobiło to na niej dobre wrażenie.

- Cóż, nie sądzę, aby mógł pan mieć poważne problemy. Uważam jednak, że byłoby dobrze, gdyby pan miał jakieś konkretne plany. Kiedy stanie pan przed sędzią, łatwiej panu przyjdzie odpowiedzieć na jego pytania o to, gdzie zamierza pan zabrać dzieci, jak zorganizuje dla nich opiekę...

- Dziękuję, zrobię, jak pani radzi... - Zawahał się. - Naprawdę doceniam pani wskazówki. I jeszcze raz przepraszam za moje zachowanie dziś rano. - Uśmiechnął się, zacieśniając uścisk dłoni.

- Będziemy przyjaciółmi?

- Będziemy - odpowiedziała. - Mówmy sobie po imieniu. Ja jestem Marcy.

- Steve... I jeszcze raz dziękuję ci, Marcy.

Prosta, jakby się mogło zdawać, czynność przekazania kluczy do mieszkania siostry okazała się niezmiernie skomplikowana. Po pierwsze, Stephen musiał zadzwonić do swojego adwokata w Nowym Jorku, który z kolei kontaktował się telefonicznie z miejscowym prawnikiem. Następnie trzeba było udać się do sądu, gdzie został oficjalnie uznany „tymczasowym administratorem (sprawa w toku)”. Dopiero wtedy szeryf Olsey przekazał mu klucze, wraz z dokładnymi instrukcjami, jak dojechać do Woodside,

Stephen trafił tam bez problemu. Zachwycała go szczególnie, jakby wiejska atmosfera osiedla i naturalne piękno otoczenia. Dobrze rozplanowane, pomyślał, nie zatłoczone. Poza ćwierkaniem ptaków i odgłosem jego własnych kroków na zwirowanej ścieżce, żadne dźwięki nie zakłócały ciszy. Przypomniał sobie fragment jednego z listów siostry: „Jest tak cicho i spokojnie... dobrze dla

dzieci". Wszedł po schodach, odszukał numer 212. Wziął głęboki oddech i ostrożnie otworzył drzwi.

Już w środku zatrzymał się i oparł o drzwi - kręciło mu się w głowie. Powoli spoglądał dookoła. Był w dużym, jasnym salonie. Pod jedną ścianą stała okazała sofa, którą okupował włochaty miś, uważnie obserwujący przybysza. Na stoliku leżała otwarta gazeta, obok stał wazon z uschniętymi różami. W powietrzu unosił się mdły zapach zwiędłych kwiatów. Stephen bez trudu wyobraził sobie Dianę układającą róże. Pewnie jak zwykle nuciła jakąś piosenkę.

Całkowity bezruch. Poruszył się, aby przerwać potworną ciszę, ale gruby dywan stłumił odgłos kroków. Potknął się o coś - był to mały pociąg przewrócony na bok. Podniósł go i położył na stoliku. Do pokoju wpadało mnóstwo światła, ponieważ jedna ściana składała się ze szklanych tafli i nie była niczym osłonięta. Przesuwane drzwi otwierały drogę na patio. Stał w nim żelazny, ręcznie wykuty stolik ze szklanym blatem i cztery krzesła. ,

Jak w transie chodził po całym mieszkaniu. Było wyjątkowo duże, z czterema sypialniami. W jednej z nich stał regał z mnóstwem książek, wśród nich kilkanaście autorstwa Davida Nelsona. Płodny pisarz, pomyślał, i dobrze zarabiający. Dianie i dzieciom niczego nie brakowało... Na biurku znalazł maszynę do pisania z zapisaną do połowy kartką, pustą filiżankę po kawie i zdjęcie Diany. Opierała się o łódkę, roześmiana. Podniósł zdjęcie i oglądał przez chwilę, po czym odstawił ostrożnie na miejsce. Wychodząc z pokoju, musiał ominąć nie dokończoną układankę z rysunkiem Kaczora Donalda pozostawioną na podłodze przez któreś z dzieci.

Lubię cię, Davidzie. Nie znałem cię, ale polubiłem, ponieważ Diana była z tobą szczęśliwa, ponieważ to jest szczęśliwy dom.

Przypomniał sobie o lalce zwanej Lili Ann i poszedł do pokoju Ginger. Szukał wszędzie - w pudełku z zabawkami, na półkach, nawet pod łóżkiem. Znalazł kilka lalek, ale żadna nie odpowiadała

podanemu przez pannę Wilson... a raczej Marcy... opisowi. Zastanawiał się, czy wziąć w zamian jakąś inną. Po powrocie z Nowego Jorku poszukam dokładniej, obiecał sobie. Wrócił do głównej sypialni, próbując ożywić wspomnienie Diany. Wdychał słodki, kobiecy zapach pudru i perfum, przyglądał się bladoróżowej halce porzuconej na nie zaścielonym łóżku. Czerwono-biały sandał, który znalazł na podłodze, obudził w nim przyjemne wspomnienie z dzieciństwa. Oto jego matka, roześmiana, kopie sandały po pokoju, usiłując znaleźć właściwą parę. Szuka butów, bo właśnie przyszedł któryś z wujków. Zawsze było ich kilku.

- Steve, kochanie, bądź dobrym chłopcem, pomóż Mary zając się siostrą. Mamusia niedługo wróci. A teraz daj mi wielkiego buziaka.

Całował ją, wdychając zapach słodkich perfum, a potem odliczał minuty do jej powrotu. Wraciała radosna, uśmiechnięta, gotowa bawić się z nim albo śpiewać piosenki. Nigdy nie prosiła go, aby ukrywał przed ojcem wizyty wujków, ale on i tak milczał. Nawet wtedy, gdy z jednym z nich odeszła na zawsze. Milczał również, gdy tato powiedział im, że mama nie żyje. Wiedział, że to nieprawda. Ciągle czekał na jej powrót. Na darmo.

Nagle dostrzegł szmacianą nogę i kawałek kraciastej sukienki. Pod poduszką leżała Lili Ann. Wyobraził sobie ostatni poranek Diany. Ginger weszła do pokoju rodziców, ciągnąc za sobą lalkę. Wdrapała się na łóżko, tak jak on to kiedyś robił. Diana przytuliła córeczkę z całych sił, a Ginger była szczęśliwa, czując ciepło, miłość i jej słodkie perfumy. Myślała, że tak pozostanie na zawsze, że ludzie, którzy kochają, nie odchodzą.

Diana nie miała wyboru, ale jego matka mogła przecież wrócić do dzieci... Ta świadomość prześladowała go przez całe życie. Nie mógł już dłużej powstrzymać łez. Wstrząsany spazmami, nie potrafił powiedzieć, czy oplakuje śmierć matki Ginger, czy odejście swojej własnej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W drodze do domu Marcy zatrzymała się przed sklepem. Zbadała uważnie stan swojego konta i doszła do wniosku, że musi jadać w domu, jeśli chce dotrzeć bez długów do końca miesiąca. Za dwa obiady w Sutton's może kupić jedzenia na tydzień. Pakując do koszyka puszki z warzywami, zastanawiała się, gdzie się podziały jej pieniądze. Sądziła, że ma ich nieco więcej.

Cóż, kupiła buty, bo nie mogła im się oprzeć, kilka razy dzwoniła do Jennifer. Coś jeszcze? Aha! Bilety do cyrku, ale nie kosztowały dużo. No i kalkulator dla Jimmy'ego. Dziwny prezent urodzinowy dla dziesięciolatka, ale o tym właśnie marzył. Pani Emory miała upiec tort na czwartek, Marcy też chciała dać coś od siebie.

- Marcy Wilson, jeśli chcesz przeżyć, musisz się trochę zdystansować, zostawiać pracę w biurze - upominała ją Jo Stanford. - Nie możesz pomóc wszystkim dzieciom, nie rozwiążesz każdego problemu. Spróbuj dla odmiany pomyśleć o czymś przyjemnym.

Coś przyjemnego. Na przykład Stephen Prescott. Lubiła go, naprawdę. Uśmiechnęła się do swoich myśli, wybierając jednocześnie trzy dorodne pomidory. Gdyby dzisiaj rano ktoś spytał ją o niego, zapewne nie powiedziałaby ani jednego dobrego słowa. Kiedy jednak zobaczyła, jak zareagował na widok dzieci, jego zakłopotanie, niepokój, chęć sprawienia im przyjemności, natychmiast poczowała do niego sympatię. Niepokoił się, dlatego był taki zdenerwowany. Spodziewała się kogoś zupełnie innego. Przypomniała sobie własne słowa: „Stephen Prescott nie czuje się do niczego zobowią-

zany". A jednak. Nie kierował się jedynie poczuciem obowiązku, naprawdę zależało mu na dzieciach, chciał się nimi zająć, chociaż nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Marcy mogłaby śmiać się z niego, gdyby tak bardzo nie zależało jej na dzieciach. Ginger i Davey mieli wspaniały dom, kochających rodziców. Zdawali się wracać do równowagi, a jednak Davey był niespokojny, a Ginger wciąż czekała na mamusię. Teraz będą musieli przenieść się w zupełnie nowe środowisko, zamieszkać z wujkiem, który nie ma żadnego doświadczenia w opiece nad dziećmi. Co innego, gdyby Marcy je adoptowała. Albo Jennifer. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z siostrą i jej dziwną apatię. Muszę z nią pomówić^ postanowiła. Pojadę w niedzielę i wezmę ze sobą dzieci.

Wróciła do swoich zakupów. Sałatki, owoce, funt mielonej wółowiny, którą podzieliła na porcje i zamroziła. Zastanawiała się przez chwilę, czy wziąć kotlety z jagnięcia. Są drogie, ale je również może zamrozić. Wystarczy na cztery obiady. Wrzuciła paczkę do koszyka i skierowała się w stronę kasy.

Kiedy znalazła się przed drzwiami swego mieszkania, postawiła torby z zakupami na ziemi i przetrząsała torebkę w poszukiwaniu kluczy. Wkładała je właśnie do zamka, gdy zobaczyła Stephena Prescotta wychodzącego z sąsiedniego mieszkania.

- Witam ponownie - powiedziała.

Chyba nie usłyszał.

- Dzień dobry - powiedziała głośniej.

- O, dzień dobry - odpowiedział cicho.

Wydawał się... zagubiony. Uderzył ją wyraz cierpienia na jego twarzy, zapragnęła mu pomóc, odegnać bolesne myśli. Kiedy przechodził koło niej, chwyciła go za rękaw.

- Poczekaj - powiedziała. - Możesz mi pomóc?

- Słucham?

- Z zakupami. - Podniosła jedną torbę, podała mu. - Ledwo przydzwigałam je z samochodu.

Przez chwilę sądziła, że Steve nie ruszy się z miejsca.

- No chodź - powtórzyła.

Tym razem poszedł za nią.

- Postaw tutaj - pokazała mu stolik przy drzwiach. On jednak stał nieruchomy.

Wyjęła torbę z jego rąk, postawiła na miejsce. Najwyraźniej działo się z nim coś niedobrego.

- Siadaj - przysunęła krzesło. - Wyglądasz na zmęczonego. Nie odpowiedział, ale usiadł. Zastanawiała się, co dalej robić.

Zaproponować mu drinka? Pobiegła do kuchni, w jednej z szafek znalazła butelkę brandy, którą kilka tygodni wcześniej przyniósł Tom. Nalała po brzegi do szklaneczki i podała ją Steve'owi.

- O, dzięki - odpowiedział zdziwiony.

- Odpocznij sobie, a ja rozpakuję torby. - Poszła do kuchni i zaczęła wyjmować z toreb produkty, kładąc je na miejsce. Od czasu do czasu zerkała na swojego gościa. Steve siedział bez ruchu, wyglądając przez okno, czasem tylko podnosił do ust szklaneczkę z alkoholem.

Przeżył wstrząs, to było jasne. Marcy spodziewała się, że wizyta w mieszkaniu Diany będzie dla niego trudna, ale chyba musiało wydarzyć się coś więcej. Jeśli zamierza jechać dzisiaj do Sacramento, musi trochę odpocząć i odzyskać siły.

- Chyba poczęstuję cię obiadem - zawołała.

Nie zareagował. Nie była nawet pewna, czy usłyszał.

Obudziły go dźwięki dochodzące z kuchenki. Gdzie ja jestem? Usiadł i zaczął się rozglądać. Dostrzegł krzątającą się w kuchni Marcy. Stopniowo zaczął odtwarzać wydarzenia dzisiejszego popołudnia. Pomógł jej wnieść zakupy. Od jak dawna tu siedzi? Spojrzał na pustą szklaneczkę. Brandy. Pamiętał, że mu ją podawała. Był wtedy nieobecny myślami, z powodu wspomnień wywołanych przez sypialnię Diany. Mimo wszystko nie może tu siedzieć i użalać

się nad sobą. Powinien wyjść, i to szybko. Wziął szklanę, zawahał się przez chwilę, potem wszedł cicho do kuchni. Marcy właśnie wrzucała lód do szklanek. Zauważył, że zmieniła ubranie. W swetrze i dzinsach wyglądała jak nastolatka.

- Dziękuję. - Podał jej szklanę. - Naprawdę tego potrzebowałem. Skontaktuję się z tobą; kiedy wrócę. Pamiętam twoje rady, postaram się przyjechać jak najszybciej.

- Chyba nie zamierzasz teraz wychodzić? - spytała. - Obiad jest prawie gotowy.

- Obiad? Przygotowałaś obiad?

- Yhm - kiwnęła głową i nalała do szklanek mrożonej herbaty. - Bądź tak dobry i pomóż mi nakryć do stołu.

- Niestety, nie mam czasu na obiad - burknął niegrzecznym tonem. - Muszę zdążyć na samolot.

- Odlatuje jutro rano. Masz jeszcze mnóstwo czasu. - Stała pośrodku kuchni, z serwetkami w ręku, wyraźnie zmartwiona.

Uświadomił sobie, że burczał na nią i zawstydził się nieco.

- Nie rozumiem. Na czym polega problem? - zapytała. - Powiedziałaś, że jesteś głodny. To tylko obiad.

- W porządku. - Wziął od niej tacę ze szklankami. Cała sytuacja wydawała mu się zbyt intymna. Nie, intymna to niewłaściwe słowo. Bywał już z kobietami w intymnych sytuacjach, ale nigdy nie pozwalał im zbliżyć się zbyt do siebie. I nie zamierzał tego zmieniać. W tej kobiecie było coś, może zatroskanie, może opiekuńczość, coś, co go poruszyło i...

- Sztućce są w bocznej szufladzie!..- zawołała.

Ależ mną rządzi, pomyślał. Czy ja w ogóle powiedziałem, że jestem głodny?

- Obiad gotowy - ogłosiła, stawiając talerze na stole. - Może zdjąłbyś płaszcz i poluzował krawat? Czuj się jak u siebie. ,

Marcy dostrzegła ostrożne spojrzenie, jakim ją obrzucił. Miała ochotę zawołać: „Hej, jestem po twojej stronie!”, ale się powstrzymała.

Zamiast tego, prowadziła niezobowiązującą rozmowę - o pogodzie, książce, którą właśnie przeczytała, sztuce widzianej tydzień temu. Mówiła cokolwiek, byleby tylko odwrócić uwagę Steve'a od dręczących go problemów. Odpowiadał monosylabami i Marcy zdawała sobie sprawę, że nie słucha zbyt uważnie. Kiedy zastanawiała się nad kolejnym „bezpiecznym” tematem, wreszcie się odezwał.

- Wyjątkowo smaczny obiad - przypomniał sobie o dobrych manierach. - To bardzo miło z pani strony, panno Wilson...

- Mam na imię Marcy.

- Rzeczywiście, przecież mieliśmy mówić sobie po imieniu.

Wiesz, że wszystkie posiłki w tym mieście jadłem razem z tobą? Odnoszę wrażenie, że to trochę nie na miejscu.

- Nonsens - odpowiedziała, z zadowoleniem dostrzegając ślad uśmiechu na jego twarzy. - Miałam okazję się zrewanżować. Za dwa poprzednie płaciłeś ty, pamiętasz? - Zmarszczyła brwi. - Czy to znaczy, że nie jadłeś śniadania? Nic dziwnego, że byłeś taki rozdrażniony.

- Cóż. Spieszyłem się. Chciałem...

- ..zabrać dzieci i wyjechać czym prędzej - dokończyła przekornie.

- Tak. Nie zdawałem sobie sprawy, że to takie skomplikowane.

- Nie takie znów skomplikowane. Musisz tylko...

- Zastanowić się, gdzie je umieszczę i kto będzie się nimi opiekował - przerwał jej. - To wcale nie będzie łatwe. Mój apartament mógłby przyprowadzić je o klaustrofobię. Będę też potrzebował trochę czasu na znalezienie właściwej opiekunki i odpowiednich szkół. Mam przyjaciółkę w Scarsdale, mógłbym poprosić ją o pomoc, ale nie chcę nadużywać jej uprzejmości.

Powinna była się spodziewać, że ma „przyjaciółkę”, a jednak ta wiadomość sprawiła jej przykrość.

- Na pewno z przyjemnością ci pomoże. W końcu od czego są przyjaciele?

- Nie wiem, czy ona... Właściwie to Brick, prezes Semco, jest moim przyjacielem i wspólnikiem. Kiedy zadzwonił dziś rano, powiedział, że Stella go rzuciła, więc się wyprowadził. A właściwie wprowadził. Mieszka teraz u mnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Powiedział mi, że przeprowadził się do mnie.

- Rozumiem. - Marcy odzyskała dobry humor. Skoro Brick mógł bez problemu wprowadzić się do jego mieszkania, znaczyło to, że nie mieszka tam nikt inny. Poczwała rumieniec wpływający jej na policzki.

Zdystansuj się, Marcy, upomniała się w duchu. Co z tego, że ma piękny uśmiech? Za kilka tygodni będzie tylko miłym wspomnieniem.

- Nie martw się. - Zaczęła sprzątać ze stołu. - Wszystko się ułoży. Minęło... kilka dni... niecały tydzień. To za mało, żeby dobrze przemyśleć sytuację, nie mówiąc już o planowaniu czegokolwiek. Potrzebujesz trochę czasu.

Przyglądał się Marcy, która właśnie podeszła do kominka i włączyła ekspres do kawy. Była w jej ruchach swoista pewność siebie i niezaprzeczalny wdzięk. Zdawała się być w zgodzie z samą sobą. W dzinsach prezentowała się równie dobrze, jak w eleganckiej sukience. Steve miał wrażenie, że czułaby się tak samo swobodnie przy ognisku w Peru, jak i w swoim przytulnym mieszkanku.

- Przyniosę ciasteczka, zanim kawa się zaparzy. - Wyszła do kuchni.

Kiedy wróciła, Steve przyglądał się jednemu z rysunków zdobiących ścianę przy kominku. Nie mógł się zdecydować, co przedstawiają niezgrabne pociągnięcia węgla. Człowiek na rowerze do góry nogami? Koń leżący na plecach? Rycerz w zbroi spadający z konia, też do góry nogami? Próbował obrócić głowę, aby obejrzyć rysunek odwrotnie, ale nie dostrzegł w nim nic więcej.

- Czy to kolejne dzieło młodego artysty, z którym miałaś okazję się spotkać?

- Bynajmniej, proszę szanownego pana. - Uśmiechnęła się, stawiając tace na stoliku. - Jeśli chcesz wiedzieć, to oryginalny Picasso.

- Picasso? - Patrzył na nią z niedowierzaniem, po czym odwrócił się znów w stronę obrazu, zaciśnął usta i przybrał pozę pozornego uznania. - Rzeczywiście. Od razu widać wielkiego artystę.

Perlisty śmiech Marcy sprawił mu niekłamaną przyjemność.

- To tylko dowodzi - skomentowała - że przy odpowiednim nazwisku wszystko uchodzi na sucho.

Przy kawie i ciasteczkach Marcy opowiadała o swoim dzieciństwie i rodzinie.

- Mój Boże - powiedziała w końcu - czemu ja ciągle mówię o sobie?

Steve wiedział, dlaczego. Specjalnie ją do tego prowokował, tak jak robił to w stosunku do potencjalnych inwestorów, starając się poznać ich przeszłość, zanim przyjął od nich czeki. Nie było powodów, aby jakoś szczególnie interesować się Marcy, jednak zaintrygowały go jej pogoda ducha i pewność siebie. No tak, ona przecież miała szczęśliwy, stabilny, dostatni dom rodzinny, zupełnie przeciwieństwo jego niespokojnego i ubogiego dzieciństwa. Jako dziecko zawsze miała poczucie bezpieczeństwa... czuła opiekę... miłość. Tego właśnie chciał dla dzieci Diany. Nagle wstał.

- Muszę dostać dzieci. Chcę jak najszybciej zabrać Ginger i Daveya.

Marcy też się podniosła, zaskoczona ponaglaniem w jego głosie.

- Co się stało? Przecież umówiliśmy się, że...

- Nie mówię, że w tej chwili. Już się z tym pogodziłem. Przeczekam całe to zamieszanie, prawną procedurę, ale chciałbym wkrótce wziąć je do siebie. Im dłużej zostaną z tą panią Jones, tym trudniej będzie im zbliżyć się do mnie. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Kiwnęła głową, odstawiając kubek na tacę. Jej spokój zirytował go, zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

- Wiem, jak się czujesz - odpowiedziała w końcu - ale zrozum, proszę, że dokładne przygotowanie umożliwi łatwiejszą adaptację.

Umożliwi łatwiejszą adaptację! Co za biurokratyczny żargon! Przecież mówimy o dzieciach! - zzymał się w duchu.

- Ale ja nie mam czasu! - podniósł głos, prawie krzyczał, nerwowo przeczesując ręką włosy. - Pewnie, mogę kupić dom w Scarsdale albo gdzie indziej. Mogę rozmawiać z gospoiami. Tylko że potrzeba na to mnóstwo czasu, a ja go nie mam. Potrafisz to zrozumieć? - Przeszedł w stronę kominka i z powrotem, potem powiedział zrezygnowanym głosem: - Chyba tymczasowo będę musiał zabrać dzieci do mojego mieszkania.

- Mówiłeś, że są w nim dwie sypialnie, tak? - Nie patrzyła na niego, pochłonięta oglądaniem własnych paznokci. - Zakładam, że twój przyjaciel zamierza się wyprowadzić. Mimo tego, dwie sypialnie to za mało, jeśli ma z wami mieszkać również opiekunka, a to wydają się niezbędne.

Był zdenerwowany logiką jej argumentów, jednak przede wszystkim drażnił go fakt, że miała rację.

- Może warto pomyśleć o większym mieszkaniu? - zasugerowała. - Tymczasowo, zanim kupisz coś na stałe.

- Może. - Raz po raz zaciskał pięści, nie wiedząc, co robić. Gdzie w Nowym Jorku mieszkają ludzie z dziećmi? Brick był jego jedynym znajomym, który miał dziecko, ale...

- Steve! - zawołała nagle i skoczyła na równe nogi. - Jak często bywasz w Nowym Jorku?

- Nie wiem. W sumie miesiąc albo dwa w roku. Często podróżuję, nie mieszkam tam na stałe.

- Wobec tego możesz w zasadzie mieszkać wszędzie, prawda? - Zapaliła się do własnego pomysłu. - Tymczasowo, oczywiście.

- Właściwie tak, ale...

- Dlaczego więc nie miałbyś zamieszkać tutaj?

- Tutaj?

- Obok, w mieszkaniu Diany i Davida. Czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy? To idealne rozwiązanie dla dzieci.

Zastygł w bezruchu, z kciukami zatkniętymi za pasek spodni i wzrokiem wbitym w podłogę. Rzeczywiście, to jest jakieś rozwiązanie, ale... dlaczego wyczuwał w tym jakąś manipulację?

- Nie rozumiesz?! - wybuchła. - Mogliby wrócić w dawne miejsca! David do zerówki, a Ginger do przedszkola. Do tych samych nauczycieli i przyjaciół.

A ty, pomyślał, będziesz tuż obok, żeby ich doglądać i mnie pilnować.

- Nie ufasz mi? Wolisz je mieć pod swoim czujnym okiem?

- Nie bądź śmieszny! Nie chodzi o czujne oko, ale o pomocną dłoń. Tego właśnie potrzebujesz. Poza tym - zachichotała - pomaganie to moja praca.

- Twoja praca polega na przekładaniu papierów i powiększaniu biurokracji! - warknął. - A dzieci Diany to wyłącznie moja sprawa.

Wzięła się pod boki i rzuciła mu wojownicze spojrzenie.

- Nie mów tak! Zależy mi na tych dzieciach.

- I byłoby ci bardzo wygodnie mieć je pod ręką, co?

- Nie bardziej niż tobie.

- Co to ma znaczyć, hę? - Odsunął się o kilka kroków.

- To znaczy, że - zaczęła wyliczać na palcach - po pierwsze, rozwiązałyby to problem odpowiedniego mieszkania. Po drugie, dzieci nie zostałyby nagle wyrwane ze swojego środowiska. Po trzecie, twoja pałaca potrzeba czasu zostałaaby zaspokojona. Oto czeka gotowe miejsce, gdzie mógłbyś nawiązać więź z dziećmi i zamieszkać tymczasowo, dopóki nie znajdziesz innego domu.

Nie poruszył się, pogrążony w myślach. To, co mówiła, wydawało się sensowne. Ale co ona sobie wyobraża, kim jest, że ośmiela się podawać mu gotowe rozwiązania, jakby sam nie mógł sobie poradzić? Podszedł do kanapy i chwycił marynarkę.

- Pomyślę o tym. Zamierzam trochę się rozejrzeć w Nowym Jorku.

- Koniecznie. Może znajdziesz coś bardziej odpowiedniego.

Pomimo całej słodyczy, wyczuł w jej głosie sarkazm. Obrócił się natychmiast, ale Marcy była uśmiechnięta.

- Będę widziała się z dziećmi podczas weekendu. Znalazłeś może Lili Ann?

Lili Ann. Pobladł, czując, że wspomnienia znów odżywają. Halka. Sandał na podłodze.

- Znalazłem, na łóżku w sypialni Diany.

Nie chciał tam wracać. Poszukał palcami klucza w kieszeni marynarki.

- Mogłabyś... ? - zapytał, podając jej klucz.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Wezmę lalkę i poszukam wyrotki Daveya.

- Dzięki. - Ruszył w stronę drzwi, ale jeszcze raz się odwrócił.

- Słuchaj... - Zawahał się. Czy nie prosi o zbyt wiele?

- Tak?

- Chodzi o rzeczy Diany i Davida. Pracujesz w opiece społecznej. Znasz kogoś, kto mógłby ich potrzebować? Albo jakieś miejsce, żeby je oddać?

- Nie jestem pewna, ale mogę zapytać.

- Bardzo proszę. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mogła je stamtąd zabrać. Weź kogoś do pomocy. Zapłacę za to. Po prostu nie chcę... prawdę mówiąc, strasznie przygnębił mnie widok tych rzeczy. Sądzę, że dla dzieci byłoby to równie trudne... Gdybym się zdecydował... ale pamiętaj, że jeszcze nie podjąłem decyzji. Gdybym jednak postanowił zamieszkać z dziećmi tutaj, wolałbym, żeby nie było nic, co mogłoby budzić przykre wspomnienia.

- Jasne. - Patrzyła na niego twardym wzrokiem. - Rozumiem. Zajmę się tym.

- Dziękuję. Będę z tobą w kontakcie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Idiota, myślała Marcy, siłą woli powstrzymując się od trzaśnięcia drzwiami za Steve'em. O co mu chodzi? Sam przyznał, że nie ma odpowiedniego mieszkania dla dzieci ani pojęcia, co z nimi zrobić. A jednak, kiedy przedstawiła mu inteligentny i praktyczny plan, z miejsca go odrzucił. Prawdopodobnie dlatego, że to ona proponowała. Stephenie Prescottcie, lepiej, żebyś miał jakąś rozsądną propozycję, bo...

Prawdę mówiąc, Marcy podobał się jej własny pomysł. Gdyby Ginger i Davey mieszkali obok, mogłaby nadal ich widywać i...

Nie mogła przestać o tym myśleć i spędziła bezsennie całą noc. Rano zadzwoniła do Geralda i zaproponowała poranną grę w tenisa. Odbijanie piłeczki zawsze świetnie ją relaksowało, a Gerald nigdy nie odmawiał.

- Nie wiem, jak ty to robisz - powiedziała kiedyś Jo Stanford, komentując jej przyjacielskie randki.

- Co robię?

- Utrzymujesz przyjazne stosunki z kilkoma mężczyznami jednocześnie, żadnego z nich nie dopuszczając zbyt blisko siebie.

- Ależ to bardzo łatwe. Po prostu na początku ustalam jasne zasady.

Nie zawsze jednak wszystko było takie łatwe. Szczególnie teraz, kiedy jeden z jej przyjaciół zaczął podchodzić do związku zbyt poważnie. Tom... Ostatnio zrobił się zaborczy. Z Geraldem nie było

tego problemu. Opiekował się umiającym ojcem i tak samo jak Marcy pragnął jedynie przyjaźni.

Reszta tygodnia upłynęła na niezliczonych rozmowach, spotkaniach i raportach. W czwartek Marcy czekała na Jimmy'ego Braxtona pod szkołą, zabrała go na hamburgera i wręczyła prezent urodzinowy. Może powinnam raczej kupić mu jakieś ubranie, myślała, patrząc na znoszone dżinsy i zbyt krótkie rękawy starej kurtki. Kiedy jednak zobaczyła radość i dumę, z jaką chłopiec Oglądał kalkulator, nabrała pewności, że tego właśnie chciał. Postanowiła porozmawiać z panią Emory o jego ubraniach.

Zostawiając chłopca przed domem, czuła się nieco przygnębiona. Wiedziała, że nie jest szczęśliwy.

Tęsknił za matką, od której został zabrany dwa lata temu. Nie zapewniała mu jedzenia ani dachu nad głową, często była nieprzytomna od wypitego w nadmiarze alkoholu, a jednak potrafiła utrzymać głęboką więź z synem. W kolejnych rodzinach zastępczych nie brakowało mu opieki, ale nie odczuwał rodzicielskiej miłości, której tak bardzo potrzebował.

W sobotę Tom zaprosił Marcy do filharmonii, potem na kolację i powiedział jej o akcjach i obligacjach więcej, niż chciała wiedzieć.

W niedzielę pojechała z Ginger i Daveyem do Shingle Springs, aby odwiedzić siostrę. Nie był to najlepszy pomysł.

Jennifer na przemian upominała dzieci, żeby siedziały spokojnie i oglądały telewizję, bądź narzekała na męża. Al wyszedł rano grać w golfa. „Jak można grać w golfa, gdy leje jak z cebra?” - pytała płaczącym tonem. Na jego miejscu też wołałabym pole golfowe niż niedzielę w towarzystwie Jenny, myślała Marcy, wsiadając z dziećmi do samochodu. Dlaczego w ogóle przyszło mi do głowy, że Jennifer mogłaby adoptować dziecko? W jaki sposób doszło do tak gruntownej przemiany pełnej ciepła, wesolej Jennifer, która trzy lata temu zdobyła serce Alfreda R. Bakera, jednego z największych

inwestorów na rynku nieruchomości? Mieli wyjątkowo wystawne wesele, potem przeprowadzili się do ogromnego domu w Shingle Springs. Czyżby ich romantyczna miłość wygasła już?

Rozważywszy różne przyczyny, Marcy doszła do wniosku, że Jennifer jest po prostu znudzona i to czyni ją nieznośną. Powinna się czymś zająć. Marcy postanowiła umówić się z siostrą na mecz tenisa ziemnego w przyszłą niedzielę. Potem pójda coś zjeść i przeprowadzi z nią długą rozmowę, na którą dzisiaj nie znalazła czasu.

W środę zadzwonił Steve z Nowego Jorku. Marcy od razu rozpoznała jego lekko zachrypnięty głos. Miała dziwnie ściśnięte gardło, gdy mówiła:

- Marcy Wilson, słucham.

- Mówi Stephen Prescott. Zastanawiałem się nad twoją propozycją. Jak myślisz, czy zmiana mojego adresu na Woodside 212 przyspieszyłaby procedurę?

Próbował się targować?

- Być może - odpowiedziała, nie mogąc opanować eksplozji radości, jaka ją ogarnęła. To dlatego, że będę nadal blisko dzieci, tłumaczyła sobie.

- Wobec tego zmień, proszę, adres w kwestionariuszu. Przyjadę w sobotę albo w niedzielę. Czy moglibyśmy załatwić wszystko do poniedziałku?

- Jeśli dostaniemy twoje referencje, to nie powinno być problemu. Chociaż ciągle jeszcze nie wynająłeś... - Przerwała na chwilę, bo przypomniała sobie, że sprzątaczką, pani Fisher, wspominała o swojej siostrze, która chętnie zajęłaby się dziećmi - Czy chciałbyś, żebym rozejrzała się za gosposią?

- Nie, dziękuję. Mój prawnik już skontaktował się z miejscową agencją. Przyślą kogoś, kiedy przyjadę.

- Zatem sprawa załatwiona. Zajmę się więc papierkową robotą.

- Specjalnie mocniej zaakcentowała ostatnie słowa, ale zdawał się tego nie zauważać.

-I... jeszcze jedna rzecz. Czy znalazł się ktoś chętny, żeby wziąć ubrania?

- Tak, pani Fisher. Pracuje u nas. Przyjdzie po nie dziś po południu.

- To dobrze - odpowiedział z wyraźną ulgą. - Dziękuję.

- Cieszę się, że mogę pomóc.

Steve wylądował na lotnisku w Sacramento w sobotę, późnym wieczorem. Padał drobny, nastrojający melancholijnie deszcz, a chłód w powietrzu był wyraźnie wyczuwalny. Wynajął samochód i pojechał do Auburn.

Do zamieszkania w Woodside skłoniła go nie tylko argumentacja Marcy. Będąc w Nowym Jorku, przejrzał korespondencję Diany i Davida. Dowiedział się z niej, że Nelsonowie zgromadzili na trzech kontach dość pokaźną sumę, wynajmowali również skrytkę bankową. Postanowił zamienić pozostawiony przez nich majątek na udziały w funduszach powierniczych. Ponieważ nie istniał testament, musiał do tej operacji uzyskać aprobatę władz i... po prostu lepiej byłoby, gdyby do zakończenia sprawy pozostał w Kalifornii. Nie kierował się bynajmniej sugestiami Marcy.

A jednak, dojeżdżając do Auburn, cieszył się na spotkanie z nią. Chciał usłyszeć jej opinię o robocie zmieniającym się w ciężarówkę, prezencie dla Daveya oraz o pluszowym lamparcie, którego kupił dla Ginger. Podejrzewał, że Ginger wołałaby konika, ale żaden konik nie wydawał się tak miękki i miły w dotyku, jak lampart. Poza tym dziewczynka marzyła o prawdziwym kucyku.

Steve chciał też spytać Marcy, czy powinien dać dzieciom zabawki od razu, czy też zrobić im niespodziankę po powrocie do domu.

W mieszkaniu Marcy światła były włączone, ze środka zaś do-

biegał czyjś śmiech. Zawahał się przez moment, zanim nacisnął dzwonek. W chwilę później drzwi otworzył wysoki mężczyzna w granatowym garniturze. Nosił okulary w ciemnych, rogowych oprawkach.

- Słucham? - zapytał mężczyzna.

- Nazywam się Stephen Prescott. Chciałbym rozmawiać z Marcy Wilson.

- Kto to? - zawołała Marcy z głębi mieszkania.

Mężczyzna cofnął się i otworzył szerzej drzwi. Steve dostrzegł Marcy siedzącą przy rozpalonym kominku. Miała na sobie coś miękkiego w ciemnoróżowym kolorze. Dookoła stały różne rzeczy: plansza szachów, kieliszki z winem, taca z kanapkami.

- Jakiś Stephen.

- O, Steve, dobrze, że nareszcie jesteś. - Marcy wstała i Steve zobaczył, że była ubrana w jednoczęściowy kombinezon z szerokimi spodniami ściągniętymi gumką tuż nad kostką. Była boso. - Na litość boską, wejdź szybko i zamknij drzwi.

Wszedł, trzymając w obu rękach torby, a mężczyzna zamknął za nim drzwi.

- Tom, to jest Stephen Prescott, będzie mieszkał obok. Steve, poznaj Toma Jenkinsa. Napijesz się wina? A może coś gorącego? Na dworze jest raczej zimno.

Ale u was tutaj całkiem przytulnie, pomyślał Steve. Pierwszego dnia zapoznała go- z innym mężczyzną, czyż nie?

- Tak... nie... To znaczy nie, dziękuję. Chciałem tylko wziąć klucz.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem, kiedy Marcy poszła po klucze. Steve nie mógł pozbyć się uczucia, że ten facet w okularach w rogowych oprawkach próbuje go ocenić.

- Proszę bardzo. - Podała mu klucz. - Myślę, że wszystko powinno dobrze się ułożyć. Niektóre z twoich referencji już do nas dotarły.

- To dobrze - odpowiedział.

- Na pewno nie chcesz drinka ani nic do jedzenia? Mam mnóstwo sera i salami.

- Nie, dziękuję. Lepiej już pójdę. Dobranoc. - Ukłonił się obojgu, odwrócił gwałtownie i wyszedł.

Zamknął za sobą drzwi i nagle poczuł się bardzo samotny. To dlatego, że teraz już nie mam kogo zapytać o te prezenty dla dzieci, wytłumaczył sobie. Poza tym niechętnie wracał do mieszkania Diany.

Kiedy jednak wszedł do środka i zapalił światło, zaskoczyła go całkowita zmiana. Żadnych misiów na sofie ani zabawek rozrzuconych po podłodze. Znikły uschnięte kwiaty z wazonu. Zamiast nich, na stole stał ogromny bukiet kolorowych jesiennych liści. Łóżko w sypialni było zaścielone, a szafy puste. Żadnych kosmetyków. Nic. Znikły ślady obecności Diany, jednak Steve czuł się równie przygnębiony, jak tydzień temu. W łazience znalazł świeże ręczniki na wieszaku oraz kostkę mydła w pojemniku zawieszonym na wannie. Ktoś bardzo się starał, pomyślał..

Następnego dnia była niedziela. Postanowił, że zabierze Marcy na obiad i podziękuje. Później pojedą odwiedzić dzieci.

Nie było jej w domu. Sprawdził, czy może jest gdzieś w pobliżu, w pralni lub na korytarzu. Mogła wyjść po zakupy. Czekał przez chwilę, jednak kiedy nie wróciła do dziesiątej, pojechał do centrum, zjadł śniadanie w Sutton's, potem spacerował trochę po mieście. Wrócił do Woodside o drugiej, ale Marcy wciąż nie było. Nie zależy mi zbyt wiele na spotkaniu z nią, przekonywał sam siebie, jest po prostu jedyną znaną mi osobą w Auburn.

Prawdopodobnie spędza dzień z jednym z przyjaciół. Wyobraził sobie przebieg wydarzeń ostatniej nocy: facet w okularach w rogowych oprawkach nocował u niej, a rano wyszli gdzieś razem. A niech to! Wcale nie potrzebuję jej towarzystwa, żeby odwiedzić własnego siostrzeńca i siostrzenicę...

Jak pomyślał, tak zrobił. Pojechał do dzieci sam, bez Marcy.

W domu państwa Jones szybko okazało się, że dzieci niezbyt chemie zbliżały się do niego. Trochę się wstydzą, pomyślał. Wyciągnął więc z pudełka lamparta i podał go Ginger. Podeszła niepewnie, wzięła zabawkę i wróciła na dawne miejsce.

- Jest miły - powiedziała, głaszcząc miękkie futerko.

- Powiedz „dziękuję” - upomniał ją Davey.

- Dziękuję - powtórzyła za nim, a potem spytała: - Gdzie jest Marcy? Dlaczego nie przyszła?

- Jest dzisiaj... zajęta. - Podniósł drugie pudełko. - Tu jest coś dla Daveya.

Chłopiec ostrożnie wziął prezent i uprzejmie podziękował. Ale bez entuzjazmu.

- Otwórz - zachęcał Steve. - Zobacz, jak to działa.

Davey ożywił się nieco, gdy razem rozkładali robota, ale chciał koniecznie pokazać go Troyowi. Jednak żadne z dzieci nie było zainteresowane wyjściem razem ze Steve'em na obiad. Poza tym pani Jones nie mogła na to pozwolić bez specjalnej zgody któregoś z pracowników opieki społecznej.

Wróciwszy do mieszkania, Steve rozmyślał, po co tak się spieszył do Auburn.

W poniedziałek rano, kiedy Marcy wychodziła do pracy, zauważyła kopertę, którą ktoś wsunął pod jej drzwi. W środku były dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe i kartka następującej treści:

Panno Wilson,

Ktokolwiek posprzątał mieszkanie, zrobił to bardzo sumiennie. Proszę dopilnować, aby został odpowiednio wynagrodzony. Dziękuję za usunięcie wszystkich rzeczy osobistych.

S.P.

Po powrocie do domu, Marcy poszła najpierw do mieszkania Steve'a. Nie było go, więc napisała na odwrocie koperty:

Sprzątałam razem z panią Fisher. Ona zrobiła to w zamian za ubrania, ja pomagałam ze względu na Dianę.

M.W.

Włożyła do koperty oba banknoty i wsunęła ją pod drzwi mieszkania

Zgodnie z przewidywaniami wszystko poszło gładko. Steve miał wspaniałe referencje, Marcy przesłała do sądu pismo potwierdzające jego wniosek i, bez dalszej zwłoki, sędzia ogłosił Stephena Prescottta prawnym opiekunem dzieci Nelsonów.

Przez cały czas załatwiania formalności Steve odnosił się do niej z dziwnym chłodem i bardzo oficjalnie. Marcy była tym mocno zdziwiona. Owszem, nie zaczęli znajomości najlepiej, ale przecież pomagała mu i w końcu dostał dzieci. Nie obchodzi mnie, co myśli albo robi Stephen Prescott, powtarzała sobie. Mimo to, jego zachowanie wydawało jej się dziwne. Zazwyczaj była w dobrych stosunkach z mężczyznami.

- W zbyt dobrych - powtarzała często jej matka. - Traktujesz ich wszystkich jak braci.

Kiedy Marcy pytała, co w tym złego, matka odpowiadała, że pewnego dnia zjawi się Pan Właściwy i może się zniechęcić, jeśli będzie go traktowała jak starszego brata.

Cóż, nie zamierza przejmować się niezrozumiałym zachowaniem Steve'a i postąpi zgodnie z jego wskazówkami: będzie trzymała się z dala od jego spraw. Z wyjątkiem tych przypadków, kiedy chodzi o dzieci, oczywiście. Uważała, że robi błąd, zatrudniając opiekunkę z agencji „Alston” i chciała mu o tym powiedzieć. Narzuciła na siebie sweter, pomaszrowała zdecydowanie w stronę jego mieszkania i energicznie nacisnęła dzwonek.

- Wiem, że szukasz mieszkanie dla dzieci, ale chciałam z tobą porozmawiać.

- Wejdz. Pakuję właśnie maszynopisy Davida, żeby je wysłać do jego agenta.

- Wszystkie? - zapytała, patrząc, jak wyjmuje stosy papieru z szuflad i pakuje je do pudeł.

- Tak, wszystkie. Agent Davida powiedział, że ma kogoś, kto może dokończyć i zredagować cały pozostawiony maszynopis. Uważa, że powinien się dobrze sprzedać. Jeśli tak będzie, to powiększy to majątek dzieci. - Przerwał na chwilę i spojrzał niepewnie na Marcy, jakby szukając u niej potwierdzenia. - Myślę, że David tego właśnie by chciał, nie sądzisz?

- Owszem. Jestem pewna, że David byłby tego samego zdania.

- Cieszę się, że mam gdzie je odesłać - mówił dalej, wracając do pakowania pudeł - bo będę potrzebował tego pokoju jako biura.

- Aha.

- Zamierzam zostać tu przez jakiś czas, aż dzieci przywykną do mnie, chcę ograniczyć podróże do minimum.

- Właśnie o tym chciałam rozmawiać. - Wzięła głęboki oddech. Nie prosił jej o radę, ale musiała to powiedzieć. - Uważam, że wynajmowanie kogoś z agencji „Alston” nie jest dobrym pomysłem.

- Czyżby? - Jego ton wyraźnie mówił: „Nic ci do tego”.

- To są jedynie opiekunki do dzieci. - Nie dała się zbić z tropu. - Potrzebujesz kogoś, kto zajmie się również domem, nie tylko dziećmi. Pani Fisher ma siostrę, która chętnie by to zrobiła. Bardzo lubi dzieci i jest pracowita.

- Dziękuję za radę. - Kopnął pudełko i odwrócił się w jej stronę. - Wynająłem już panią Johnson, która ma wspaniałe referencje. Bardziej sobie cenię opinię renomowanej agencji niż czyjejś siostry.

- Proszę wybaczyć, to była tylko sugestia. - Wyprostowała się i wyszła sztywno z mieszkania Steve'a.

Co ona sobie wyobraża? - Steve, jak zwykle, zaczął swój ulubiony dialog. Zawsze gadał sam ze sobą. To typowe dla samotników. - Myśli, że może mnie pouczać, kiedy akurat nie spotyka się z którymś z odwiedzających ją panów?

Przeszkadza ci to?

Skądże! Tylko nie lubię, gdy ktoś się wtrąca. Nie powinienem się tu przeprowadzać.

Ale jest ci wygodnie, prawda?

Bardzo wygodnie, szczególnie dla niej.

Przecież wszystko załatwiła. Jutro dostaniesz dzieci.

To jej praca.

Ale nie musiała sprzątać mieszkania i zabierać rzeczy.

To nie znaczy, że może się wtrącać w moje życie.

Ani, że ty możesz się zachowywać grubiańsko.

Cholera!

Zadzwoił do drzwi, ale nie było odpowiedzi. Wiedział jednak, że jest w domu. Słyszał rytmiczne odgłosy, jakby skrzypienie. Zastukał głośno.

- Drzwi są otwarte - zawołała.

Na środku pokoju stała minitrampolina. Marcy skakała energicznie w górę i w dół. Nie przestała, kiedy wszedł, rzuciła mu jedynie obojętne spojrzenie.

- Nie powinnaś zostawiać otwartych drzwi - upomniał ją.

- Każdy może wejść.

- Rzeczywiście. - Nie mógł mieć wątpliwości, kogo ma na myśli.

- Posłuchaj. Nie chciałem być niegrzeczny. Byłem trochę podeenerwowany. Szykuję się na przyjęcie dzieci i w ogóle.

Nie odpowiedziała, cały czas skacząc na tej cholernej sprężynie.

- Przestań podskakiwać! Usiłuję cię przeprosić.

- Niepotrzebnie. - Wykonała szybki półobrót i przyspieszyła.

Obszedł trampolinę, żeby widzieć jej twarz.

- Ejże, daj sobie spokój z tą zwariowaną gimnastyką i posłuchaj mnie!

- Sądzę - odpowiedziała zasapana - że ludzie skaczą tylko wtedy, gdy im każesz.

- Święta prawda. - Złapał ją w locie i postawił na ziemię.

- Stój spokojnie jedną minutę! Próbuję zaprosić cię na kolację. Dziś wieczorem. Żeby uczcić powrót dzieci do domu.

- No, no! Co za zaszczyt! —Jej oczy były ciemnoniebieskie od gniewu i niemal go zauroczyły, ale odpowiedź sprowadziła go na ziemię. - Tak mi przykro, że muszę odmówić, ale mam inne plany na wieczór.

- Mogłem się tego spodziewać.

- O co ci chodzi tym razem?

- Nieważne! - Wyszedł nagle, trzaskając drzwiami.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marcy postanowiła, że nie pozwoli, by animozje Steve'a poróżniły ją z dziećmi. Najbliższe dni były dla nich najważniejsze i chciała być blisko, aby pomóc w razie potrzeby.

- Wujek Steve was kocha - mówiła im - i dlatego chce z wami zamieszkać. Będzie się wami opiekować. Powiedzcie, czy to nie jest miłe z jego strony, że chce was zabrać do waszego domu, żebyście mogli wrócić do swoich przyjaciół?

W dniu powrotu dzieci do domu, Steve zamówił nabożeństwo żałobne w intencji Diany i Davida. Niestety, ich ciała, jak dotąd, nie zostały odnalezione. Ceremonia była krótka, prosta i niezwykle wzruszająca. Marcy z trudem powstrzymywała łzy. Poza nią, Steve'em i dziećmi, obecna była niezbyt liczna grupa przyjaciół i sąsiadów. Davey i Ginger siedzieli cicho i przez cały czas zachowywali się bardzo poważnie. Marcy doszła do wniosku, że ceremonia żałobna była mądrym i koniecznym posunięciem, które pozwoliło wszystkim pogodzić się z losem oraz pożegnać Davida i Dianę.

Dzieci powoli wdrażały się do nowego rytmu życia. W pewnym stopniu stanowił on kontynuację przeszłości. Dom Marcy, jak zawsze zresztą, był dla nich otwarty, pełen układanek i książeczek do kolorowania. Zabierała je również, tak jak dawniej, na krótkie wycieczki. Steve nie miał nic przeciwko temu, zgadzał się bowiem na wszystko, co sprawiało radość dzieciom. Jeśli zdarzało mu się powiedzieć „nie”, wystarczyło, by Ginger zrobiła nieszczęśliwą minę i zaczęła płakać, że chce do mamusi, a już wujek się poddawał.

Odnosił się do swoich podopiecznych jakby był zupełnie pozabawiony charakteru. Raz, kiedy przyszła po dzieci, słyszała Steve'a wydającego komuś polecenia przez telefon. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że osoba, do której skierowane są ostre słowa, postąpi zgodnie z jego dyrektywami. Dlaczego nie potrafił chociaż raz przemówić w ten sposób do dzieci? Czyżby nie wiedział, że potrzebują dyscypliny? Zamiast tego, psuł je coraz bardziej. Oczywiście nigdy nie chciał wysłuchać jej opinii, wszystko robił po swojemu. Gdyby nie był tak uparty, Marcy potrafiłaby mu współczuć. Przecież desperacko usiłował zadowolić dwoje małych dzieci, był też zmuszony prowadzić dla nich dom. Co wieczór Marcy widziała panią Johnson wychodzącą z jego mieszkania. Najwyraźniej więc opiekunka nie nocowała z dziećmi, prawdopodobnie niewiele też pomagała w ciągu dnia.

Podejrzenia Marcy potwierdziły się, kiedy spotkała Steve'a w pralni. Wyglądał na nieco zdenerwowanego, ale pogwizdywał coś pod nosem. Na widok Marcy uśmiechnął się i uklonił. Ginger i Davey, którzy mu towarzyszyli, natychmiast do niej podbiegli.

- Marcy! - wołał Davey. - Idziemy jutro do wesołego miasteczka, czy twój bank nadal nie ma pieniędzy?

- Hm... Jeszcze zobaczymy. - Spojrzała szybko na Steve'a, mając nadzieję, że nie usłyszał albo przynajmniej nie zrozumiał, że Davey nawiązuje do dnia, kiedy bankomat wyświetlił informację „Limit konta przekroczony”. - Chodź tu, Davey, pomożesz mi składać ręczniki.

- Zostaw, Ginger, weź sobie drugi - Davey upomniał siostrę.
- Sam to zrobię.

- Ale ja chcę pomagać - rozplakała się dziewczynka.

- Spokojnie, dzieci. - Marcy wtrącała się, zanim Davey zdążył zaprotestować. - Ty weź jeden koniec, a Ginger drugi. W ten sposób zrobicie to dwa razy szybciej. - Poczula ulgę, że udało się jej odwrócić ich uwagę od niefortunnego incydentu z bankomatem.

Spędzili wtedy popołudnie w parku i bawili się nie gorzej niż w wesołym miasteczku. Poza tym, stan jej konta nie powinien interesować aroganckiego pana Prescottta.

Ho! Ho! Ho! A więc Panna Skrupulatna nie radzi sobie w pewnych dziedzinach, pomyślał ze złośliwą satysfakcją, upychając w pralce dżinsy Daveya. Nie potrafi kontrolować stanu swojego konta, co?

- Czemu się uśmiechasz? - spytała. - Lubisz robić pranie?

- Hm... To znaczy... Robiłem to już wcześniej.

- Założę się, że było to dawno temu. - Marcy ułożyła ostatnie ręczniki w koszu i podziękowała dzieciom.

- To jest jak jazda na rowerze. Nigdy się nie zapomina.

- Mogę dostać... ? - zapytał Davey.

- Mówi się: Bardzo proszę - upomniała go Marcy.

- ...rdo proszę, Steve. Potrzebuję pieniędzy na loda.

Steve już miał sięgać do kieszeni, ale Marcy znów się wtrąciła.

- Davey, powiedz: Czy mogę prosić o pieniądze na loda? - poprawiła chłopca.

- Czy mogę? Proszę. - Powtórzył pytanie, robiąc duży skrót.

- Proszę - dołączyła do niego Ginger. - Ja też.

- Jedliście obiad? - spytała Marcy, a kiedy dzieci zgodnie pokręciły głowami, powiedziała: - Wobec tego odpowiedź brzmi: nie. Odejdźcie więc od automatu z lodami i policzcie, ile jest tutaj pralek.

Davey skinął głową i poszedł liczyć pralki, a Ginger podążyła zanim.

Steve zmarszczył brwi.

- Wydawało mi się, że to mnie prosili o pieniądze.

- Ktoś musi powiedzieć: nie. - Rozpieszczasz je, tak samo, jak panią Johnson. Dlaczego ona nie pierze?

- Zasady agencji „Alston”. - Zacisnął usta. - Opiekunki nie piorą, nie sprzątają, nie gotują. Zajmują się dziećmi.

- Nie przepracowuje się, jak sędzę. Dzieci spędzają pół dnia poza domem, a ona wychodzi o piątej. Nie zostaje na noc?

- Za dodatkową opłatą. - Otrzeptał ręce z proszku. - Nie mam nic przeciwko dodatkowej opłacie, ale strasznie mnie złości to, że następnego dnia muszę przygotowywać dla niej śniadanie.

- Aha. - W oczach Mafcy pojawiły się wesołe iskierki.

Steve zauważył, że usiłowała opanować śmiech. Powrót dzieci przerwał im rozmowę.

- Dziesięć, Marcy - wołał Davey. - Policzyłem pralki.

- Ja też - wtórowała mu Ginger.

- Dziesięć? Mądrała z ciebie. A potrafisz skakać na jednej nodze, o tak? - zademonstrowała zadanie.

- Pewnie - odpowiedział.

- Ja też - dodała Ginger, niczym echo.

- Dobrze. Spróbujcie więc. I policzcie, ile razy uda się wam podskoczyć na jednej nodze. - Dzieci odeszły, podskakując i głośno licząc, a ona powiedziała z uśmiechem: - Uważaj, Steve. Jeśli będziesz prowadził interesy w taki sposób, w jaki prowadzisz dom, wkrótce możesz zbankrutować.

- Dobra, dobra. Zwracałem już uwagę tej całej Johnson. Mam mało doświadczenia w tych sprawach. Mieszkałem w hotelu, posiłki jadłem w restauracjach albo...

- A jednak konieczna była zmiana' stylu życia, co? - podkpiwała sobie z niego, wyjmując jednocześnie bieliznę z suszarki.

- W porządku, punkt dla ciebie. Wiem, że bardzo chcesz utrzcć mi nosa.

- Ależ, Steve, czy kiedykolwiek usłyszałeś ode mnie „A nie mówiłam?”.

- Nie, nigdy. - Patrzył, jak strzepuje niewidzialny kurz z koronkowej bielizny nocnej. Jej właścicielka musiała być bardzo uwodzicielską kobietą, chociaż w tych dżinsach Marcy wyglądała jak nastolatka. Najwyraźniej jest w Marcy Wilson coś więcej, niż przypuszczał...

- Miłego prania - pożegnała go.
- Hej, poczekaj chwilę. - Przez te rozmyślenia o jej koronkowej bieliźnie prawie zapomniał, że chciał ją o coś spytać. - Będziesz tak miła i skontaktujesz mnie z siostrą pani Fisher? Może ona zgodzi się prac?
- Piętnaście razy - przerwał mu Davey. - Podskoczyłem piętnaście razy.
- Ja też - Ginger nie chciała być gorsza.
- Wcale nie. Ona skoczyła tylko dziewięć.
- Świetnie. - Marcy odstawiła kosz i przytuliła dzieci. - A teraz spróbujcie na drugiej nodze. - Znow zaczęli skakać i liczyć, a ona wzięła swój kosz. - Zobaczą, czy nadal jest zainteresowana - mruknęła i wyszła.
- Dzięki. Będę wdzięczny! - zawołał.

Szkoda, że poszła, pomyślał, ma świetne podejście do dzieci. Nie obrażały się, gdy im czegoś odmawiała. Po prostu zajęły się skakaniem i Uczaniem i śmiały się radośnie. Właśnie, ona potrafiła je rozbawić. Była żywa i pełna ciepła. I, trzeba przyznać, było w niej coś kuszącego. Uważaj, Steve, trzymaj się od niej z daleka.

Marcy odnalazła siostrę pani Fisher, Sally Chisholm, i namówiła ją, aby zgodziła się zająć domem Steve'a.

Sally była pulchna i wesoła - prawdziwy skarb, jak często myślał o niej Steve. Łóżka były zaścielone, obiady przygotowane, a dzieci przypominały sobie o dyscyplinie.

- Za dużo im pan pozwala - zauważyła już pierwszego dnia.
- Muszą wiedzieć, kto jest szefem, panie Prescott.

Steve docenił porządek, jaki zaprowadziła w domu i był wdzięczny Marcy za jej znalezienie. Nie ponowił jednak zaproszenia na kolację. Zamiast tego, przywiózł jej prezent z Nowego Jorku - zegarek marki Rolex. Wydawało mu się, że wszystkie kobiety marzą

o takim. Kiedy dał go Marcy, wpatrywała się w zegarek przez pewien czas, potem podniosła wzrok na Steve'a.

- Och, nie powinienes... Nie zasłużyłam na taki prezent.

- Przyjmij go na znak wdzięczności za twoją pomoc. - mówił zmienionym głosem. Z trudnością opierał się urokowi jej oczu, a rozchyłone usta stwarzały pokusę nie do odparcia.

- Ale ja nie... To znaczy... Pomagałam, bo tego chciałam.

- Wiem, robiłaś to dla Diany. - Oderwał wzrok od jej twarzy i skupił się na wyjmowaniu prezentu z pudełka. - Zobaczmy, jak wygląda na ręce. - Wsunął zegarek na nadgarstek Marcy. Poruszony delikatnością jej skóry, cofnął szybko dłoń. - Przyjmij go ze względu na Dianę. Oboje jesteście ci bardzo wdzięczni. - Wyszedł szybko, zanim zdążyła zaprotestować i zanim on sam uległ pokusie zrobienia czegoś, czego nie powinien.

Pani Chisholm nie mogła zostawać na noc.

- To niemożliwe, gdy ma się nastoletnie dzieci, panie Prescott. Nie muszę być w domu w dzień, kiedy są w szkole, ale w nocy trzeba pilnować, o której wychodzą i czy wracają na czas. Najstarsza córka, Nancy, za miesiąc skończy osiemnaście lat. Jest dosyć odpowiedzialna, może ona mogłaby zostawać z dziećmi, gdy pan będzie wyjeżdżał.

Zgodził się, gdyż musiał wyjechać na dwa dni do Nowego Jorku. Wszystko poszło dobrze. Obecny układ i tak był tylko tymczasowy, Steve wynajął bowiem agenta nieruchomości, który szukał dla niego małej farmy w Connecticut albo w północnej części stanu Nowy Jork. Dzieci mogłyby wtedy mieć kucyki, a jemu byłoby łatwiej dojeżdżać niż z Kalifornii. Taki dom wymagałby jednak zatrudnienia odpowiednich pracowników. Czy uda mu się znaleźć kobietę, która nie tylko zajmie się dziećmi, ale poprowadzi również dom? Sekretarka zaproponowała mu, żeby zatrudnił nianię do dzieci oraz lokaja. Nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl

o lokaju, ale czemu nie? Przecież stać go na to. Dla dzieci zrobi wszystko.

Tymczasem próbował jak najlepiej radzić sobie w obecnych warunkach. Dzieci dobrze się czuły z panią Chisholm, lubiły też przedszkole. Steve powoli porządkował ich sytuację prawną oraz finansową i nie planował żadnych dłuższych podróży do czasu ustabilizowania się sytuacji jego nowej rodziny.

Pewnego ranka obudził go telefon.

- Steve, mamy kłopoty - mówił jego wspólnik.

- Tak? - Opanował ziewanie i usiłował się skoncentrować.

- Chodzi o Peru. Opóźniają wydanie zgody. Powinieneś tam pojechać.

- Przecież Stan miał to załatwić.

- Daj spokój! - krzyczał Brick. - Dobrze wiesz, jaki z niego niezdara. Poza tym to był twój pomysł.

- Nie mogę jechać, Brick. Nie mogę zostawić dzieci.

- Myślisz, że tylko ty masz kłopoty, co? - zawodził wspólnik.

- A co ja mam powiedzieć? Stella się awanturuje, razem ze swoim gachem chce mnie obedrzeć ze skóry. Chcą mi zabrać wszystkie pieniądze! Sprawa Arabii Saudyjskiej też jest nie załatwiona do końca. Posłuchaj, to nie zajmie ci więcej niż tydzień.

Tydzień. Tylko tydzień.

- Dobrze, pojedę i zajmę się tym - zgodził się w końcu. Pani Chisholm dobrze prowadzi dom, a jej córka może nocować z dziećmi. Poprosi Marcy, żeby nad wszystkim czuwała.

Jednak kiedy poszedł do Marcy, aby o tym porozmawiać, zobaczył, że schodzi ze schodów w towarzystwie faceta w okularach w rogowych oprawkach. Trzymali się za ręce.

A niech to, wcale jej nie potrzebuję! - pomyślał ze złością.

W czwartek Marcy wróciła do domu po siódmej. Jeszcze zanim otworzyła drzwi, zaczął dzwonić telefon.

- Marcy, możesz przyjechać do szpitala? - prosił Gerald. - Jestem na intensywnej terapii.

- Na intensywnej terapii?! - wykrzyknęła zdziwiona. - Co się stało?

- Chodzi o ojca. Nie wiem, co się stało. Stracił przytomność, leżał na podłodze, kiedy wróciłem do domu. Marcy, tak się boję!

- Zaraz tam będę.

- Mówią, że to serce - poinformował ją, kiedy przyjechała. Był bardzo zdenerwowany. Siedzieli razem Mika godzin w poczekalni. Wreszcie wyszedł do nich lekarz z informacją, że stan pana Simsa ustabilizował się. Najprawdopodobniej do rana nic się nie zmieni, proponował więc, żeby poszli do domu i czekali na wiadomości.

Marcy nalegała, aby Gerald pojechał z nią do domu.

Zjedli duszone ostrygi, potem napili się wina. Gerald poczuł się lepiej i chciał wracać do szpitala.

- Daj spokój - nalegała. - Zostawiłeś im mój numer telefonu, zadzwonią, jeśli będą cię potrzebowali. Możesz spać na sofie w salonie, przysunę bliżej telefon. Gdyby zadzwonili, pojedziemy razem. - Ułożyła pościel i postawiła aparat tuż obok.

Steve nie był zadowolony, że musiał wyjechać z domu na tyle dni. Zaraz po przyjeździe do Peru dzwonił do dzieci; wszystko wydawało się być w porządku. Ostatnio jednak nie mógł zatelefonować, bo przebywał z dala od miasta, a w dodatku popsuł im się helikopter. Dotarł do bazy o trzeciej nad ranem, w Kalifornii była północ. Za kilka godzin musiał znów wyjeżdżać, postanowił więc zadzwonić teraz.

Bardzo długo nikt nie podnosił słuchawki. Nancy ma chyba twardy sen, pomyślał. Zaciskał palce na aparacie, wyczekując. Wreszcie odezwał się zaspany dziecięcy głosik.

- Halo!

- Davey! Czy to ty?
- Yhm. - Chłopiec ziewał głośno.
- Dlaczego odebrałeś telefon?
- Bo dzwonił.
- Gdzie jest Nancy? - Steve był bliski paniki.
- Nie wiem. Pewnie śpi.
- Posłuchaj, Davey. Obudź ją, niech przyjdzie do telefonu.
- Dobrze.

Steve tak kurczowo trzymał słuchawkę, że zbieleły mu palce. Czemu, u diabła, mała Chisholm nie podnosiła słuchawki? Telefon stał obok jej łóżka. A może śpi w pokoju Ginger? Uspokoił się na tę myśl. Pewnie...

- Halo! - To był znów Davey.
- Gdzie jest Nancy?
- Nie ma jej.
- Nie ma jej! Co to znaczy? Szukałeś wszędzie?
- Tak. I wołałem. Cały czas wołałem. Ginger się obudziła i teraz płacze. A Nancy nie ma.

Steve oblał się zimnym potem. Dzieci są same w mieszkaniu. On je obudził i teraz...

- Posłuchaj, Davey. - Starał się mówić spokojnie i wyraźnie.
- Powiem ci, co masz zrobić. Pójdiesz... Nie... Zostańcie z Ginger w domu, a ja zadzwonię do Marcy. Czekać na nią.

Tym razem nie musiał długo czekać.

- Halo - odezwał się męski głos.
- Czy to mieszkanie panny Wilson?
- Tak. Sims przy telefonie. Do mnie pan dzwoni?
- Co? A, nie. Chciałbym rozmawiać z panną Wilson, jeśli mogę prosić.
- Oczywiście. Jedną minutkę.

Steve dusił się z wściekłości. Powinien przewidzieć, że będzie u niej jakiś typ.

- Halo! - Mówiła niewyraźnie, jakby właśnie się obudziła. Odegnął od siebie wszystkie podejrzliwe myśli. Teraz najważniejsze są dzieci.

- Marcy, mówi Steve. Dzwonię z Peru. Dzieci są same w domu.

- Co takiego?!

- Ta dziewczyna, Nancy, córka pani Chisholm, miała z nimi nocować, ale jej nie ma. Pomyślałem więc... Marcy, mogłabyś...?

- Oczywiście. Zaraz tam pójde.

- Zadzwoń znów za dziesięć minut.

- W porządku. Już mnie nie ma.

Kiedy ponownie telefonował do swojego mieszkania, odebrała Marcy.

- Dzieci poszły spać. Nie martw się, zostanę z nimi. Dzisiaj i później, aż do twojego powrotu.

- Dziękuję. - Poczul się lepiej na myśl, że dzieci będą pod opieką Marcy.

I wtedy powróciły przepędzone wcześniej myśli. Telefon u Marcy odebrał rozespany mężczyzna, który był pewien, że dzwonią do niego.

Niepokoi cię to?

Skądże.

Nancy tłumaczyła się później, że wyszła ze swoim chłopcem na kilka minut, żeby kupić hamburgera. Dzieci przecież spały, a ona zaraz wróciła. Prosiła też Marcy, żeby nie mówiła o niczym mamie. Marcy powiedziała więc pani Chisholm, że Steve poprosił ją, żeby zostawała na noc, wobec czego Nancy nie będzie już potrzebna. Kobieta przyjęła wiadomość z zadowoleniem - będzie miała córkę pod kontrolą.

- Biedny pan Prescott - mówiła - nie ma zielonego pojęcia, jak postępować z dziećmi, cały czas wodzą go za nos. Powinien się ożenić. Pewnie niedługo to zrobi... tyle kobiet za nim szaleje,

dostaje mnóstwo listów. Ja ich nigdy nie otwieram, rzecz jasna, ale czuję perfumy, jakby specjalnie je polewały, żeby o nich nie zapomniał. Jedna dzwoni codziennie, chyba ta ze zdjęcia. Widziała pani zdjęcie na szafce? Piękna kobieta, prawda?

Rzeczywiście, była piękna - długie blond włosy i pełne usta ułożone w prowokacyjny uśmiech. Na dole podpis: „Dla kochanego Steve'a, z wyrazami miłości, Tricia”.

Tak, mówiła Marcy do pani Chisholm, niewątpliwie wkrótce się ożeni i będzie to dla niego bardzo dobre wyjście w jego sytuacji...

Ale dlaczego na myśl o tym robi mi się smutno? - dziwiła się. W końcu wytłumaczyła sobie, że pewnie dlatego, że ktoś inny będzie mamą Ginger i Daveya.

Chociaż umowa z panią Chisholm była jedynie tymczasowa, Steve hojnie ją wynagrodził, kiedy jego sekretarka znalazła nową opiekunkę. Pani Evans przedstawiła wspaniałe referencje i nie miała zobowiązań wobec rodziny ani żadnej agencji. Biuro Steve'a zamieniło się w sypialnię dla nowej opiekunki. Pani Evans nie miała może w sobie tyle ciepła, co jej poprzedniczka, ale była sprawna, odpowiedzialna i... prawie idealna.

- Tu pożyczę, a tam oddam. Tu pożyczę, a tam oddam... - śpiewała Ginger, usiłując zapeścić warkocz z żółtej włóczki na głowie Lilii Ann.

- Nauczyłaś się w przedszkolu nowej piosenki? - spytał Steve, przyglądając się małej sponad swojej gazety.

- To Marcy tak czasem mówi - wyjaśnił mu Davey. - Nie mogę się z wami bawić. Muszę obracać pieniędzmi. Tu pożyczę, a tam oddam. Tak mówi.

Obracać pieniędzmi? Steve nie mógł wrócić do przerwanej lektury. Tym razem nie był rozbawiony. Marcy nie sprawiała wrażenia osoby mającej kłopoty materialne - dobrze się ubierała, tryskała

zdrowiem, była zawsze uśmiechnięta... Nie przyjęła pieniędzy za sprzątanie...

To dlatego, że nie potrafiła brać. Ona potrafiła tylko dawać. Nigdy nie odmówiła, gdy prosił ją o pomoc. A on? Nie dość, że nigdy się nie odwdzieczył, ale unikał jej jak zarazy. No tak, dał jej zegarek, ale ani razu nie zaprosił na kolację. To dlatego, że... nie chciał się angażować.

Jak dotąd nie zdarzyło ci się zaangażować po spędzeniu z kimś wieczoru.

Racja.

Odłożył gazetę i skierował się w stronę drzwi.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rozrzucone po całym stole rachunki były dowodem tego, że Marcy próbowała „obracać pieniędzmi”. Najwyraźniej miała tego dość, bo z przyjemnością zgodziła się na wspólną kolację.

- Cieszę się, że wybrałeś to miejsce. Jest niesamowite. - Wodziła wzrokiem wkoło, zachwycając się starymi lampami i mapą Nowego Świata. - Nie czujesz się jak na pokładzie starego statku płynącego ku nieznanym łądom?

- Niezupełnie. Mam wrażenie, że jestem na starym statku rzeczonym przerobionym na raczej luksusową restaurację i zacumowanym u brzegu Sakramento.

- Och! - Marcy patrzyła na niego współczująco. - Musisz być takim realistą? W porządku. Spróbujmy tego. Rozluźnij się. Poczuj delikatne kołysanie statku. On się naprawdę kołysze, czujesz to?

- Steve skinął głową i uśmiechnął się. Marcy mówiła dalej: - Posłuchaj fal uderzających o kadłub, spójrz na światła mijających nas łodzi.

Siedzieli przy oknie, Steve mógł więc rzeczywiście zobaczyć światła kilku łodzi.

- A teraz posłuchaj. - Przybrała uwodzicielski ton. - Płyniesz w dół Missisipi na pokładzie nowiutkiego statku rzecznego. Jest to doskonale wyposażona w różne rozrywki łajba. Przed chwilą wygrałeś w karty pokazną sumę, a teraz jesz kolację z...

- Dlaczego więc - przerwał jej, roześmiany - wciąż czuję się, jak na starej łajbie, która została...

- Dlatego, że brakuje ci wyobraźni! - Nachyliła się ku niemu z łobuzerskim błyskiem w oczach. - Uwierzyłybyś, gdybym usiadła na tym fortepianie i zaśpiewała piosenkę w stylu retro?

- Już to widzę! - Zaśmiał się głośno. Podobała mu się gra, którą prowadziła. Właściwie, pomyślał, ona cały czas w coś gra. Dyscyplinę wobec dzieci zamienia w zabawę i swoje kłopoty finansowe też. Chyba całe życie jest dla niej grą. Uśmiechnął się.

- Niepotrzebnie tak się uśmiechasz. Nie zamierzam robić z siebie widowiska, i tak nie poruszy to twojej wyobraźni.

- Ty nie mogłabyś być widowiskiem, tylko zjawiskiem, pięknym zjawiskiem. - Powiedział to mimowolnie, po prostu tak właśnie myślał. Wyglądała zjawiskowo w prostej sukience koloru lawendy, przy której jej niebieskozielone oczy nabierały fioletowego odcienia.

- A jednak masz wyobraźnię! - Oczy Marcy rozbliły. - Skoro możesz wyobrazić sobie mnie jako piękną kobietę, to pewnie mógłbyś też opanować technikę wizualizacji.

- Wizualizacji? Chodzi ci o dostrzeżenie tego, co przede mną?

- Nie. Czytałam kiedyś o tym, nie pamiętam w jakiej książce. Chodzi o technikę pomagającą osiągnąć to, czego pragniesz. Po prostu udajesz, że to już się stało, powtarzasz wciąż, że jest tak, jak chcesz, aby było i w końcu marzenie się spełnia. Wierzysz, że to możliwe?

- Nie. - Ileż razy wyobrażał sobie swoją matkę wracającą do domu? Ile nocy czuł przez sen jej pocałunki i pieszczoty? Jednak te sny nigdy się nie spełniły. - Nie - powtórzył. - Absolutnie w to nie wierzę.

- Ja też nie jestem do końca przekonana - zgodziła się z nim. Kelner postawił przed nimi danie główne. Marcy jadła z przyjemnością i uśmiechała się do Steve'a.

- Cieszę się, że jestem tu z tobą.

- O? - Steve był mile zaskoczony. - Bardzo mi mił...

- Bo - przerwała mu, trzymając pyszny kąsek blisko ust
- uwielbiam homary, a ty możesz sobie na nie pozwolić.
- A ja myślałem, że ze względu na mój urok osobisty. - Rozbawiła go jej szczerość. - Czy zawsze analizujesz menu pod kątem grubości portfela swojego towarzysza?
- Owszem. Mój brat Bill twierdzi, że to uprzejme z mojej strony
- odparła, po czym dodała prowokująco: - Niewiele wiem o twoim uroku, ale masz bardzo miły uśmiech.
- Dziękuję - odpowiedział, jakby nieobecny, myślał bowiem o facecie w okularach w rogowych oprawkach, który jeździł mercedesem. - Czy wobec tego... - przerwał.
- Odpowiedź na twoje nie wypowiedziane pytanie brzmi: nie. Nie wybieram towarzyszy ze względu na zawartość ich portfeli. Lubię również hamburgery. Innymi słowy - wyjaśniła z teatralnym gestem rąk - królewicz czy biedak, nie ma to dla mnie znaczenia.
- Nie masz preferencji? - spytał, dodając w myślach: W odniesieniu do jedzenia czy mężczyzn?
- Różnorodność dodaje smaku życiu. Homar jest znakomity.
- Wzięła odrobinę na widelec i wyciągnęła rękę w jego stronę.
- Chcesz spróbować?
- Nie - rzucił ostro, zły na siebie, bo nie mógł oderwać od niej oczu. Chciał ją pocałować. Chciał nią potrząsnąć i zapytać, co Gerald Sims robił u niej w środku nocy?
- Mój Boże, nie patrz na mnie w ten sposób. Nie musisz próbować, jeśli nie chcesz. Nie zamierzam cię zmuszać. Prawie nie ruszyłeś steku. Nie jesteś głodny?
- No... Nie wiem... - Zmusił się do spojrzenia na swój talerz, powoli obracając w rękę kieliszek. - Myślałem o czymś innym.
- Rozumiem. Musisz mieć mnóstwo spraw na głowie. Jak się sprawuje nowa opiekunka?
- Słucham? A, w porządku, jak na razie. - Pani Evans była

w tej chwili ostatnią osobą, o której by myślał. - Chciałbym jeszcze raz podziękować ci za pomoc tamtej nocy.

- Nie ma o czym mówić, byłam równie zmartwiona, jak ty.

- Wiem, ale dzwoniłem w nieodpowiednim czasie. Nie powinienem ci przeszkadzać o tak późnej porze.

- Nic się nie stało. - Wzruszyła ramionami.

- Wiem, że nie byłaś sama. Mężczyzna, który odebrał telefon był... trochę rozczarowany. - Obserwował jej reakcję.

- Gerald? Skądże. - Podniosła kieliszek do ust. - On po prostu czekał na telefon.

- Często odbiera telefony w środku nocy w twoim mieszkaniu?

- Nie mógł się powstrzymać od zapytania o to, tak samo, jak nie mógł opanować krwi napływającej do twarzy.

Marcy odłożyła widelec i spojrzała na niego.

- Pytasz, czy Gerald często u mnie nocuje?

- Skądże. To nie moja sprawa.

- Rzeczywiście. Żeby jednak zaspokoić twoją ciekawość, to ci powiem, że tamtej nocy jego ojca zabrało pogotowie. Był załamany. Chciałam wrócić z nim do szpitala, gdyby działo się coś złego, zaproponowałam więc, aby nocował u rania na sofie. Kiedy w środku nocy zadzwonił telefon, sądził oczywiście, że to ze szpitala i...

- Już rozumiem. - Czuł jednocześnie wstyd i ulgę. - Przepraszam, nie powinienem o to pytać.

- Sądzisz, iż zadaję się z każdym, którego spotkam?

- Wcale tak nie myślę. Nie bądź na mnie zła. Skończ jedzenie.

- Nie jestem zła. I nie jestem głodna.

- Chcesz deser? Albo kawę?

- Nie, dziękuję. No dobrze, napiję się kawy, a ty skończysz stek.

- Nie mam ochoty. - Odsunął talerz. - Chodźmy do domu.

W samochodzie żadne z nich nie próbowało prowadzić rozmowy. W milczeniu doszli do drzwi jej mieszkania.

- Dziękuję za miły wieczór - powiedziała grzecznie, szukając kluczy. Wziął je od niej, otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Ja również spędziłem miły wieczór. Przepraszam, że tak nieprzyjemnie się skończył. Przykro mi, że powiedziałem coś, co cię zraniło. I nie mów znowu, że nie jesteś zła.

- Nie chodzi o to, co powiedziałaś, ale o to, co miałaś na myśli.

- Niczego nie miałem na myśli - wypierał się, świadomy, że nie mówi prawdy, ale jeszcze bardziej świadomy tego, że Marcy niezwykle ponętnie wygląda w tej sukience.

- Ależ tak. Myślisz tylko o jednym. Sądzisz, że mężczyznę i kobietę może łączyć jedynie seks. I to mnie najbardziej denerwuje. Nie słyszałeś nigdy o przyjaźni?

- Słyszałem.

- Ale uważasz, że nie ma czegoś takiego między mężczyzną i kobietą? Jak większość mężczyzn, oceniasz kobiety według ich atrakcyjności.

- Czy to cię obraża? Przy twojej urodzie?

- Nie obraża mnie, tylko...

- Więc to także nie powinno cię urazić. - Zrobił to, czego pragnął przez cały wieczór. Wziął ją w ramiona. - Przepraszam, że cię zraniłem - wyszeptał. - Ja... Sądziłem... Byłem... - Nie mógł przecież powiedzieć, że był zazdrosny.

Całował jej skronie i powieki, potem delikatnie dotknął jej ust. Były miękkie i ciepłe. Objęła go, przytuliła się mocniej.

Płonął z pożądania. Pragnął tej kobiety. Jednak gdzieś głęboko w świadomości słyszał bicie na alarm. To nie było tylko pożądanie, przelotne pragnienie. Czuł instynktownie, że jej czułość i zaufanie wynikało z czegoś więcej. Wciągała go w pułapkę... Wspólna przyszłość. .. Tylko on i ona... Odsunął ją nagle.

- Przepraszam, nie powinienem. - Chciała protestować, ale odwrócił się w stronę drzwi. - Pójdę już, zanim znowu będę musiał przepraszać. Dobranoc.

W domu wziął zimny prysznic, przeklinając pod nosem. Po co się z nią umawiał, po co całował? Od początku czuł, że Marcy nie jest kobietą, od której można łatwo odejść, a on nie chciał takiej kobiety.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mężczyźni całowali ją wcześniej, ale żaden z nich nie przeprosił za to. Oparła się plecami o drzwi, czując, jak bardzo poniżył ją swoimi przeprosinami i tym nagłym odejściem.

Sama tego chciałaś. Przyłgnęłaś do niego jak wariatka, dosłownie zapraszając, żeby... Musiał cię odepchnąć.

Nieprawda!

Oparła twarz o drzwi, żeby nieco schłodzić rozpalone policzki. Był taki męski i pewny siebie, kiedy wziął ją w ramiona, że instynktownie się poddała i mocniej przytuliła. Czuła jego delikatność i czułość, ale i pożądanie, pragnienie, które domagało się spełnienia. Przyłgnęła do niego, ulegając jakiemuś prymitywnemu uczuciu. Musiał się bronić.

Nagle ogarnęła ją złość. To ty zacząłeś, Stephenie Prescottcie, nie ja. Jeśli sądzisz, że spędzę pół nocy, oplakując twoje odejście, to się grubo mylisz. Nie zamierzam rozpaczać jak Jennifer. Kiedy spotkały się ostatnio, rozmowa koncentrowała się wokół Ala: jego częstych wyjazdów służbowych, golfa i unikaniu żony. Jennifer wyglądała na bardzo nieszczęśliwą i niepewną jego uczuć. Marcy zrozumiała wtedy, że siostra nie tyle jest znudzona, co raczej uzależniona od męża i to właśnie sprawia, że łatwo ją zranić.

Mnie to nie grozi, pocieszała się Marcy, nie zamierzam pograżać się w żalu z niczyjego powodu. Jeśli zamierza pan, panie Prescott, szafować uśmiechami i pocałunkami na prawo i lewo, bardzo proszę. Nic mnie to nie obchodzi...

Przerwała na chwilę czesanie. Przecież on wcale tak nie robił. Może więc oszczędza się dla prawdziwej miłości, tej pięknej kobiety ze zdjęcia? W porządku, to-także mi nie przeszkadza. Zignorowała uczucie przykrości, które wzbudziła ostatnia myśl i w końcu zapadła w sen. O kim śniła? O mężczyźnie, który miał piękny uśmiech.

- Kochasz nas jeszcze, Marcy?
- Oczywiście - odpowiedziała, biorąc Ginger na rękę.
- Jak bardzo? No jak? - chichotała dziewczynka. To była stara gra.

- Najbardziej na świecie. - Przytuliła ją i kucnęła obok Daveya. Był śliczny listopadowy dzień, Marcy postanowiła więc pobiegać po parku. Wracając, spostrzegła dzieci bawiące się przed domem. Pociągnęła chłopca delikatnie za ucho i pocałowała w policzek.

- Ciebie też kocham. Co robicie?
- Górę - odpowiedział, nie przestając zbierać liści. - Gdzie byłaś?
- Odwiedzałam przyjaciela, który właśnie wyszedł ze szpitala. Uczę go grać w szachy. - Ojciec Geralda miał operację serca, teraz leżał w domu, aby odzyskać siły.
- Czemu już się z nami nie bawisz? - pytała Ginger..
- No cóż. Byliście zajęci przedszkolem, a ja miałam dużo pracy.
- Nie mogła im przecież powiedzieć, że ich unika, żeby nie spotkać się z ich wujkiem. - Ale teraz się przecież z wami bawię. - Dorzuciła kilka liści do kupki.
- Nauczycielka mówiła, że niedługo będzie Święto Dziękczynienia. Czy to prawda, Marcy? - chciał wiedzieć Davey.
- Tak, za tydzień.
- Wtedy pojedziemy? - Chłopiec był wyraźnie podniecony.
- Pojedziemy?
- No wiesz, do Lomar.

- Aha. - Konferencja w Asilomar. Zupełnie wyleciało jej to z głowy. Ale dzieci nigdy nie zapominają.
- Powiedziałaś, że nas zabierzesz. Obiecałaś - nalegał Davey.
- Mnie też obiecałaś - wtórowała bratu Ginger.
- No... nie wiem. Muszę najpierw zapytać waszego wujka.
- To zapytaj. Tam jest. - Davey pokazał palcem balkon ich mieszkania.

Steve wyszedł na balkon, żeby zawołać dzieci na obiad. Od razu ją spostrzegł. Wiatr rozwiewał jej włosy, siedziała na kupie liści i śmiała się razem z dziećmi. Steve patrzył na nią i czuł, że dzień stał się weselszy. Miała w sobie tyle energii, gdy bawiła się z dziećmi. I tak łatwo nawiązywała z nimi kontakt. Zazdrościł jej. On sam bardzo się starał, a jednak dzieci nie były przy nim swobodne. Codziennie pytał Daveya: Jak było w szkole? Co robiłeś? Chłopiec odpowiadał monosylabami i czym prędzej znikał w swoim pokoju bądź innym miejscu, byle daleko od wujka. Ginger szła w jego ślady. Robił, co mógł, żeby im sprawić przyjemność, żeby się do nich zbliżyć. Nie umiał jednak pozyskać ich uczuć. Pragnął miłości nie dla siebie, ale ze względu na nie. Jak mogą być szczęśliwe z obcym człowiekiem? Powtarzał sobie, że potrzeba czasu, ale...

- Zapytaj go! Zapytaj go! - wołał Davey.
- O co chcecie mnie zapytać?! - zawołał wesoło, uśmiechając się. Bardzo by chciał przyłączyć się do ich zabawy.

Marcy niechętnie podniosła wzrok i natychmiast uległa czarowi jego uśmiechu. Przypomniała też sobie o pocałunku. Zarumieniła się na myśl o doznanym upokorzeniu i nie potrafiła zebrać myśli. Wobec tego Davey sam zapytał:

- Marcy miała nas zabrać do Lomar. Już nam obiecała i w ogóle, ale teraz mówi, że musi zapytać ciebie. Możemy jechać? Możemy?

Steve zmarszczył brwi. Marcy czuła, że jest zdenerwowany.

- Zawsze pozwalałam wam jeździć z Marcy. Może was zabrać dokąd chce.

Odpowiedź zadowoliła dzieci i natychmiast zaczęły radośnie podskakiwać. Marcy jednak zaczęła wyjaśniać, że chodzi o wyjazd na pięć dni i że rozmawiała o tym z dziećmi kilka miesięcy temu.

- Chodź na górę i opowiedz mi o tym - zapraszał Steve. - Pani Evans przygotowała mnóstwo sosu z chili. Przyłącz się do nas. Zjemy razem obiad i porozmawiamy.

Marcy przyjęła zaproszenie, ponieważ... ponieważ obiecała dzieciom, no i musiała rozmawiać o wyjeździe. Poza tym, tłumaczyła sobie, nie musi unikać mężczyzny tylko dlatego, że nie chce się w nim zakochać. A tak w ogóle była okropnie głodna.

Sos z chili był przepyszny. Marcy opowiedziała Steve'owi o planach, które snuła jeszcze razem z Dianą i Davidem. Obiecała zabrać dzieci, w Święto Dziękczynienia na konferencję dla rodzin zastępczych w Asilomar, podczas której miała prowadzić różne warsztaty. W programie były też zajęcia dla dzieci.

- Taki wyjazd dobrze im zrobi, a ty będziesz mógł trochę odpocząć.

Steve wyraźnie się zainteresował, zadawał mnóstwo pytań. Marcy opowiadała więc o planowanych sesjach i warsztatach mających pomóc przybranym rodzicom właściwie opiekować się dziećmi.

- Czy każdy może wziąć w tym udział? - spytał w końcu.

- Właściwie tak. - Marcy była zdziwiona jego ciekawością.

- Konferencja jest organizowana z myślą o rodzinach zastępczych, ale inni też mogą się włączyć.

- A czy to może pomóc? To znaczy, czy ludzie naprawdę czegoś się uczą w czasie takiej sesji?

- Sądzę, że ci, którzy jadą tam z takim zamiarem, zawsze znajdą coś dla siebie. - Zastanawiała się przez chwilę. - Poza tym, gdyby takie spotkania nic nie dawały, nie organizowalibyśmy ich co roku.

- Myślę, że to dobry pomysł dla dzieci i dla mnie. Gdzie mogę się zapisać?

- Ty? - Marcy nie wierzyła własnym uszom.

- Czemu tak na mnie patrzysz? Nie sądzisz, że przydałoby mi się kilka lekcji na temat rodzicielstwa?

Nie wierzyła, że Steve naprawdę pojedzie, a jednak tak się stało. Zaproponował nawet, że weźmie swój samochód, bo przecież nie zmieszczą się wszyscy w jej volkswagenie.

- Jakim samochodem jeździsz w Nowym Jorku? - spytała, kiedy wsiadali do skromnego chevroleta, który wypożyczył, kiedy zamieszkał w Kalifornii.

- Nie mam samochodu. Nigdy nie miałem.

- O...

- Kiedy już mogłem sobie pozwolić na samochód, byłem albo w jakimś odludnym miejscu, gdzie można poruszać się tylko helikopterem, albo w Nowym Jorku, gdzie łatwiej wynająć taksówkę.

- Rozumiem. - Spojrzała na jego ręce pewnie trzymające kierownicę, zauważyła swobodę, z jaką prowadzi samochód. - Mam wrażenie, że dużo jeździłeś.

- Owszem, kiedy byłem w wojsku. Przydzielili mnie do brygady zmotoryzowanej. Całe szczęście, że zrobiłem prawo jazdy jeszcze w szkole, zanim uciekłem z domu. - Wziął głęboki oddech.

- To zabawne. Szalałem wtedy za samochodami. Byłem pewien, że zanim skończę szesnaście lat... Cóż, nie udało się.

- Większość dzieciaków w tym wieku marzy o samochodzie, ale niewielu dostaje.

- Racja. - To krótkie słowo było jak zatrzaśnięcie drzwi do przeszłości.

Marcy pomyślała, że niewiele wie o tym człowieku.

- Kiedy wstąpiłeś do wojska?

- Kilka miesięcy po moich szesnastych urodzinach.

- Szesnastych!

- Trochę nakłamałem. - Uśmiechnął się szeroko. - Uciekłem z domu, nie mogłem znaleźć pracy, więc wstąpiłem do marynarki wojennej, żeby poznać świat. - Zachichotał. - Ani razu nie wypłynąłem z bazy.

Marcy chciała się dowiedzieć czegoś więcej o tamtych czasach, ale na tylnym siedzeniu wybuchła sprzeczka: Ginger podarła komiks brata. Marcy wyjęła więc kredki i książeczki do kolorowania i podała małej. Po chwili dzieci umilkły.

- Czy wyniosłeś z wojska coś jeszcze oprócz umiejętności jazdy samochodem?

- Tak. - Uśmiechnął się i spojrzał w jej stronę. - Musiałem zdać egzamin równoważny maturze, więc w ten sposób uzyskałem świadectwo ukończenia szkoły średniej. No i spotkałem Bricka. Jego ojciec pracował w branży naftowej, a Brick miał mnóstwo pomysłów na życie... Postanowiliśmy razem pracować. Najpierw robiliśmy odwierty, szukaliśmy nowych złóż, a później założyliśmy spółkę... Nawet nam się udało - dokończył.

- Musiałeś ciężko pracować. Wszystko zawdzięczasz wyłącznie sobie, możesz być z siebie dumny. - Dotknęła jego dłoni i uśmiechnęła się promiennie.

Nie dodała, że tylko wyjątkowy mężczyzna potrafi jeździć skromnym, wypożyczonym autem, gdy stać go praktycznie na każdy samochód. Jej brat, Bill, który nie mógł sobie na to pozwolić i Tom, który mógł, jeździli wyłącznie modnymi, drogimi i zagranicznymi autami. Po chwili wyobraźnia podsunęła jej obraz chudego chłopca w wojskowym mundurze, a potem młodego mężczyzny stojącego w poplamionym kombinezonie przy odwiercie. Przypomniała sobie słowa nieznanego, który mówił do niej przez telefon: „Zaraz po nie przyjadę” oraz uwodzicielski uśmiech wujka wkładającego do pralki brudne dziecięce dzinsy. Ten mężczyzna nie wahał się przed niczym, po prostu robił to, co w danej chwili było potrzebne. Miała

ochotę zarzucić mu ręce na szyję i powiedzieć: „Jesteś wspaniały”, ale przypomniała sobie, że on nie chce, by go dotykać.

- Wiesz - wyrwał ją z zamyślenia - zwiedziłem prawie cały świat, ale niewiele podróżowałem po Stanach Zjednoczonych, w Kalifornii nie byłem wcale.

- Na pewno ci się spodoba. Ktoś, chyba Hemingway, powiedział, że Zachodnie Wybrzeże to najpiękniejsze miejsce na świecie.

Kiedy dotarli na miejsce-, Steve był pod wrażeniem malowniczego położenia Asilomar. Główny budynek konferencyjny oraz domki dla gości miały romantyczne nazwy i kryły się między potężnymi drzewami. Dalej rozpościerały się piaszczyste wydmy, za nimi zaś kamienista plaża.

Konferencja rozpoczynała się następnego dnia po południu, więc cała czwórka miała jeden dzień dla siebie. Wyruszyli po śniadaniu w świetnym humorze. Najpierw przejechali wijącą się serpentynami szosą, spoglądając na ocean, smagane wiatrem plaże oraz olbrzymie cyprysy nachylone w stronę lądu. W Monterey zjedli obiad. Dzieci z zapalem jeździły na karuzeli, a Steve, mając usta pełne ciasta z brzoskwiń, a potem lodów, narzekał, że to wstyd budować tandetne miasteczko pośród takiego naturalnego piękna. Spodobały mu się jednak olbrzymie baseny, w których można było podziwiać przeróżne ryby oraz innych mieszkańców mórz. Pracownicy właśnie karmili zwierzęta. Dzieciom najbardziej podobały się wydry, które wyskakiwały ponad wodę i łapały ryby w locie. Ginger była zachwycona rosgwiazdami, bo można było ich dotknąć. Davey stał przy basenie ze sztucznymi falami, patrzył, jak się cofają, a potem podchodzą do brzegu i ochlapują ludzi. Wrócili do Asilomar zadowoleni, chociaż zmęczeni, zjedli kolację w stołówce i położyli się wcześniej spać.

Następne dwa dni upłynęły na pracy. Steve brał udział w zajęciach, które prowadziła Marcy. Zaskoczył ją sumiennością i zaangażowaniem. Uczestniczył też w innych warsztatach. Marcy za-

uważała, że bardzo chciał się nauczyć, jak być dobrym rodzicem i znów ogarnęła ją fala sympatii dla niego.

Święto Dziękczynienia było dniem odpoczynku - rano zaplanowano krótkie wycieczki, potem obiad z tradycyjnym indykiem, po południu przyjęcie dla dorosłych i zabawy dla dzieci.

- Nie mam ochoty na przyjęcie - stwierdził Steve. - Chodźmy na spacer po plaży.

- Nie wiem, czy powinnam - wahała się Marcy. - Może ktoś chciałby zadać mi jakieś pytania.

- Odpowiadałaś na pytania przez ostatnie dwa dni. Teraz czas na odpoczynek. Idziemy. - Wziął ją za rękę i stanowczo poprowadził na zewnątrz.

Dzień był pochmurny i raczej chłodny, poszli więc najpierw do domku, żeby nałożyć ciepłe dresy i półbuty. W chwilę później wspinali się na strome wydmy.

- Czuję się jak na wagarach - zaśmiała się. Rzeczywiście, ogarnęła ją beztroska uciekającego z lekcji dziecka, chociaż wspinaczka po stromych piaszczystych zboczach wcale nie była łatwa. Ciągłe osuwała się w dół i byłaby spadła, gdyby nie pomocna dłoń Steve'a.

- Widzę, że nie jesteś przyzwyczajona do takich wędrówek - zauważył i nagle podniósł ją w górę.

Instynktownie zarzuciła mu rękę na szyję, czując lekkie ukłucie, gdy dotknął brodą jej policzka. Jej serce waliło jak oszalałe, kręciło jej się w głowie. To ze zmęczenia, tłumaczyła sobie, i z nadmiaru świeżego powietrza.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział i pochylił twarz, niemal dotykając jej ust. Wstrzymała oddech, a on patrzył na nią przez długą chwilę. Myślała, miała nadzieję, że ją pocałuje, ale postawił ją na ziemi. - Ścigamy się? Kto pierwszy do tamtej skały.

Zgodziła się, chciała bowiem rozładować napięcie. Początkowo dotrzymywała mu kroku, później jednak Steve przyspieszył i pierwszy dobiegł do skały. Podał jej rękę i pomógł wejść na ogromny,

płaski głaz, do połowy zanurzony w wodzie. Siedziała, spokojna pomimo zmęczenia, i chłonęła piękno otoczenia. Oprócz ich dwójga był tu tylko ocean, który na przemian wlewał się na plażę i cofał. Steve usiadł obok. Marcy miała wrażenie, że są jedynymi ludźmi na świecie.

- Czy to nie lepsze od chodzenia po sali i powtarzania: „Jak się masz?” i „Jak ci się podoba konferencja?”.

- Oczywiście. A właśnie... Jak podoba się panu konferencja, panie Prescott?

- Jest wspaniała! Najbardziej lubię słuchać rodziców zastępczych, którzy opowiadają o swoich doświadczeniach. Podziwiam ich. System rodzin zastępczych jest doskonały.

- Niestety, nie. Dużo w nim niedoskonałości. - Spojrzał na nią zdziwiony, więc wyjaśniła: - Ludzie, których tu widziałeś, to tylko garstka osób wybranych spośród tysiąca innych. Na każdego dobrego rodzica przypada dziesięciu innych, niezbyt odpowiednich.

- Ale ty, to znaczy twoja agencja, przecież tak dokładnie sprawdzacie kandydatów. Spodziewałem się, że...

- Przeciężny pracownik opieki społecznej zajmuje się grupą około pięćdziesięciorga, sześćdziesięciorga dzieci. - Patrzyła poważnie na niego. - Musi porozmawiać z dziećmi, naturalnymi rodzicami, jeśli żyją, rodziną zastępczą. Nie daje to wiele czasu na dokładne sprawdzanie wszystkich kandydatów. Zdarza się przeoczyć nieodpowiednich opiekunów.

- Zdziwiasz mnie, Marcy. Patrząc na twoją pracę, można by sądzić, że całym sercem popierasz system.

- Mówiłam ci już, że ja tylko tam pracuję, nie ustanawiam zasad.

- A gdybyś mogła?

- Kilka rzeczy bym zmieniła...

Podzieliła się z nim swoimi marzeniami o specjalnych domach dla dzieci, utrzymywanych przez państwo lub lokalne społeczności,

wyposażonych w przychodnie zdrowia, boiska, sale gimnastyczne, realizujących odpowiednie programy wychowawcze, nadzorowanych przez specjalistów i prowadzonych przez wyszkolonych, kochających dzieci wychowawców.

Steve słuchał, zaskoczony jej szczerością. Ona naprawdę kochała dzieci i chciała im pomóc. Patrzył na jej niebieskozielone oczy, dołeczki pojawiające się na twarzy, miękkie, pełne usta. Wreszcie, nie mogąc się opanować, pocałował ją. Podała się ciepłu otaczających ją ramion i gorącym pocałunkom. Jej palce zaplątały się w jego włosach, przyłgnęła mocniej do niego. Niespodziewanie rozluźnił uścisk.

- Powinniśmy sprawdzić, co robią dzieci - powiedział zachrypniętym głosem, oddychając ciężko.

Znowu ucieka, pomyślała zdziwiona, kiedy wziął ją za rękę i poprowadził z powrotem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Świetlica była wypełniona dziećmi. Niektóre grały w domino albo w szachy przy stolikach, inne w ping-ponga, jeszcze inne siedziały w grupach i rozmawiały, roześmiane. Ginger odłączyła się od jednej z grup i podbiegła do wchodzących.

- Marcy! Nauczyłam się nowej piosenki!

- Naprawdę? To wspaniale. Musisz mi ją zaśpiewać, kiedy wrócimy do domku. - Marcy rozglądała się wokół, szukając Daveya. Steve także próbował go dostrzec.

- Gdzie jest Davey? - spytał. - Ginger, gdzie jest twój brat?

- Nie wiem.

Niepokój Marcy zwiększył się, kiedy obeszli salę dookoła i nie znaleźli chłopca. Steve podszedł do jednej z opiekunek.

- Przed chwilą był tam. - Wskazała grupę chłopców skupionych wokół gry wideo.

Jeden z nich powiedział, że Davey bawił się z nimi, ale wyszedł.

- Tamtędy - dodał, pokazując tylne drzwi.

Nie znaleźli go jednak w pobliżu budynku, nie odpowiadał na wołania. Marcy ogarnął strach. Czyżby odszedł za daleko i się zgubił? A może ktoś go zawołał? Usiłowała zapanować nad łzami.

- Sprawdź, czy nie wrócił do domku - powiedziała do Steve'a, który spoglądał w stronę lasu.

Zostawiła Ginger pod opieką Amy, koleżanki z pracy. Nie znalazła chłopca w domku, pobiegła więc z powrotem do Steve'a. Był równie niespokojny jak ona.

- Och, Steve! - zawołała. - Nigdzie go nie ma. Co się z nim stało?

- Nic się nie stało - odpowiedział pewnym głosem. - Po prostu gdzieś się bawi. Znajdziemy go. Obejdę budynek jeszcze raz.

Marcy ledwo za nim nadążała. Tym razem weszli głębiej w las, ciągle wołając chłopca po imieniu. Żadnej odpowiedzi. Robiło się coraz ciemniej i chłodniej.

- Może powinniśmy ogłosić alarm, żeby inni pomogli nam szukać?

- Jeszcze nie. - Steve był zdeterminowany. - Znajdziemy go.

- Każdy by się zgubił w tych lasach. A jeśli upadł i nie może iść dalej?

- Ale słyszeć przecież może, no nie? - Zawołał głośniejszym głosem. - Davey! Davey! Gdzie jesteś?

Steve nie przestawał nawoływać. Marcy słyszała niepokój w jego głosie, przypomniała sobie ich pierwszą rozmowę i jego rozpacz na wieść o śmierci siostry. Dobry Boże, nie pozwól, aby stracił Daveya - modliła się w duchu.

- Steve, zawołam kilku mężczyzn, rozejdziemy się w różnych kierunkach i...

- Nie. Nie chcę go przestraszyć tłumem ludzi przeczesujących teren.

- Przestraszyć go! Davey ma pięć lat. Zgubił się i jest na pewno przestraszony. Za to ty jesteś potwornie uparty! - Czyżby nie rozumiał, że chłopiec mógł się naprawdę zgubić? Była zła na niego i przerażona. - Nie chcesz pomocy, żeby nikt nie pomyślał, że nie dajesz sobie rady. Inie obchodzi cię, czy dziecku coś się stało! Ktoś mógł go uprowadzić! Jakiś zboczeniec mógł zabrać go na plażę i...

- Plaża! - Steve ruszył w tamtą stronę.

Marcy wahała się przez moment, potem pobiegła za nim. Nie nadążała, ześlizgiwała się ze stromych wydm, w głowie kłębiły jej się straszne obrazy.

- Davey! - W głosie Steve'a usłyszała ulgę.

Kiedy dotarła do plaży, zobaczyła w oddali małą postać. Chłopiec szedł nonszalancko w ich stronę, ciągnąc za sobą kij.

Steve podbiegł do niego.

- Davey! - zawołał, tym razem z wściekłością. Złapał chłopca za ramiona i potrząsał nim z furją.

Marcy położyła dłoń na jego ramieniu, obawiając się, że skrzywdzi dziecko. Za chwilę Steve opanował się, nie rozluźniał jednak uścisku.

- Co tu robisz, młody człowieku? Jak mogłeś?! - Zbeształ chłopca.

- Ja... Ja... Bawię się. - Davey patrzył na wujka przerażonym wzrokiem.

- Och, Davey! - rozpląkała się Marcy. - Myśleliśmy, że się zgubiłeś.

- Nie zgubiłem się. - Odpowiedź była skierowana do Steve'a, od którego chłopiec nie odrywał oczu.

- Czy nie powiedziałem ci, że masz zostać w świetlicy z opiekunkami i innymi dziećmi?

Davey skinął głową. Był przerażony. Marcy miała ochotę zawołać: A mówiłeś, że nie chcesz go przestraszyć! Milczała jednak, wiedziała bowiem, że sprawa rozgrywa się między Daveyem a jego wujkiem. Pamiętała też, jak bardzo Steve się denerwował.

Mężczyzna znów potrząsnął chłopcem.

- Posłuchaj mnie, młody człowieku. Słuchaj uważnie! Jeśli zostawiam cię gdzieś, nie możesz sobie stamtąd pójść. Czekasz, aż ja albo inna dorosła osoba, z którą cię zostawiłem, pozwala ci odejść. Rozumiesz? - Davey kiwnął głową. - Ja jestem za ciebie odpowiedzialny. Nie możesz sam podejmować decyzji, nie możesz słuchać innych dzieci. Tylko ode mnie dostajesz pozwolenie. Rozumiesz?

- Tak jest. - W ten sam sposób odpowiadał swojemu ojcu, kiedy dostawał reprimendę.

- Popatrz na siebie! Wyszedełś na dwór bez kurtki, masz mokre nogi. Chodziłeś po wodzie? - Steve mówił nieco łagodniej. Zdjął kurtkę i otulił chłopca. Nagle przytulił go mocno. - Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem, ale naprawdę się martwiłem. Bałem się o ciebie, bo bardzo mi na tobie zależy, Davey. - Wziął dziecko na ręce i przytulił. Marcy zobaczyła łzy szklące się w jego oczach. Odchrząknął i powiedział twardo: - Idziemy do domku. Potrzebna ci gorąca kąpiel. Pamiętaj, nie będę więcej tolerował takiego zachowania. Rozumiesz?

- Tak. - Davey oparł głowę o ramię wujka.

Kiedy szli w stronę domku, Marcy rozmyślała nad porozumieniem, które narodziło się dzisiaj między chłopcem a jego opiekunem.

- Steve - zapytał cicho Davey.

- Tak?

- Oni się ze mnie śmiali. Nie chciałem się z nimi bawić.

- I dlatego uciekłeś?

Chłopiec potaknął.

- Mówili, że jestem tchórz, bo bałem się kota. On był strasznie duży. - Podniósł głowę. - Taki wielki czarny kot. I miał straszne oczy, takie... brrr! Podszedł do mnie, a ja się bałem i wszyscy się śmiali. Nie chciałem, żeby się ze mnie śmiali.

Marcy przypomniała sobie speszzone miny chłopców, kiedy pytała ich o Daveya.

- Musisz się do tego przyzwyczaić - powiedział cicho Steve.

- Nie możesz pozwolić, aby inni zmuszali cię do czegoś, na przykład do ucieczki. Wiesz, co robię, kiedy śmieją się ze mnie? Śmieję się razem z nimi.

- Ty też boisz się kotów? - Davey gwałtownie poruszył się i kurtka zsunęła mu się z ramion.

- Nie. - Steve przykrył go szczelniej. - Boję się węży.

- Jasne. - Davey był pełen zrozumienia. - Każdy boi się węży.

Takich wielkich, które widziałem w zoo? One mogą okreścić się wokół szyi i udusić na śmierć.

- Yhm. Niektóre węże są niegroźne, ale ja boję się wszystkich.
- Opowiedział chłopcu o swojej fobii, o tym, jak koledzy mu dokuczają. Davey zamienił się w słuch. - Ostatnio, w Meksyku, jeden z nich rzucił mi pod nogi zupełnie niejadowitego węża. Zacząłem skakać jak szalony, wylałem swoje jedzenie, potrąciłem też kubki innych.

Davey zachichotał.

- Widzisz, śmiejesz się. Oni też się śmiali, ale ja nie uciekłem. Śmiałem się razem z nimi i powiedziałem: Przyznaję, boję się węży. Każdy się czegoś boi.

Marcy słuchała, jak Steve wyjaśniał ojcowskim głosem, że nie trzeba wstydzić się swoich lęków, tylko stawiać im czoło. Pomyślała, że Stephen Prescott jest najlepszym opiekunem, jaki mógł zająć się dziećmi Diany. Dotknęła jego ramienia. Uśmiechnął się do niej i postawił chłopca na ziemi.

- Jesteś trochę ciężki, tygrysku. Trzymaj Marcy za rękę, pomożemy jej wdrapać się na wydmy.

Szli dalej razem, trzymając się za ręce. Było to takie naturalne.

Właściwie niewiele nauczyłem się w Asilomar, stwierdził Steve kilka dni później. Jednak kiedy przypomniał sobie rozmowę z Daveyem na plaży, nie żałował, że tam pojechał. Był przerażony, nie panował nad sobą, ale zyskał uczucia chłopca. Tamten wieczór w jakiś sposób zmienił ich wzajemne relacje. Steve bardzo lubił, gdy Davey już od progu wołał: „Steve, zgadnij, co się stało!”, albo kiedy skończył rysować i prosił: „Zobacz mój rysunek”, a także, kiedy nie był czegoś pewien i pytał wujka o radę: „Jak się pisze trójkę?”. Ginger, idąc w ślady brata, też zbliżyła się do Steve'a.

Wszystko dobrze się układało, powoli wyjaśniała się sytuacja prawna dzieci. Agent nieruchomości przysłał zdjęcia małego wiej-

skiego domu w Connecticut. Steve chciał pokazać je Marcy, zapytać ją o radę, miał bowiem przeczucie, że takiego właśnie domu szuka. Wtedy zdarzyły się dwie rzeczy, które zburzyły nowo powstały porządek.

Po pierwsze, pani Evans, prawie doskonała opiekunka, bez zobowiązań, złożyła rezygnację, wyjaśniając, że musi zająć się swoją chorą siostrą, która właśnie owdowiała.

- Bardzo mi przykro, że opuszczam pana tak nagle - tłumaczyła - ale wie pan, tak się czasem zdarza.

Steve wiedział, że tak się czasem zdarza, wypłacił więc pani Evans premię i kupił jej bilet do Nowego Jorku. Potem, klnąc w duchu, postanowił pogodzić się z losem i od nowa zacząć szukanie następnej opiekunki. Na szczęście pani Chisholm zgodziła się trochę mu pomagać, była nawet gotowa zostawać czasem na noc. Steve zadzwonił do sekretarki i poprosił ją o poszukanie nowej gospodyni. Wtedy właśnie zaczął rozumieć swojego ojca, który nigdy nie miał dość pieniędzy na opiekunki ani sprawnej sekretarki do pomocy. Może więc ojciec rzeczywiście się starał, pomyślał, po raz pierwszy cieplej go wspominając.

Następnego dnia po powrocie pani Chisholm, Steve odebrał telefon ze żłobka - Ginger spadła z drabinek i chyba złamała rękę, nikomu jednak nie pozwalała się dotknąć.

Drabinki! Steve marszczył brwi, wskakując do samochodu i pędząc na pomoc. Dlaczego mają takie niebezpieczne zabawki w żłobku? Dlaczego pod drabinkami nie leży coś miękkiego? Dlaczego w taką pogodę dzieci bawią się na dworze? Biedne dziecko, takie przerażone, nie pozwala nikomu się dotknąć. A jeśli mnie też nie dopuści do siebie? Rozważał przez chwilę, czy nie pojechać po Marcy do biura.

- Steve! - zawołała dziewczynka i pobiegła do niego, gdy tylko wszedł. - Steve, zrobiłam sobie krzywdę.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał ją, biorąc na ręce. - Zajmę się tobą.

Zostawił samochód i pojechali do szpitala taksówką. Cały czas Steve trzymał dziewczynkę na kolanach, nawet wtedy, gdy lekarz opatrywał złamaną rękę. Był wściekły na dyrekcję żłobka, żałował cierpiącego dziecka, ale najmocniejszym uczuciem była radość z zaufania Ginger. Podbiegła do niego!

- Mój Boże! - zawołała pani Chisholm na ich widok. - Dziecko drogie, musisz bardziej na siebie uważać. Prześpij się teraz, a potem przygotuję coś pysznego i nakarmię cię. - Z serdeczną troską krzątała się koło dziewczynki.

Kilka dni później, po obiedzie, kiedy dzieci bawiły się w pokoju Daveya, pani Chisholm odbyła poważną rozmowę ze Steve'em. Nalała mu kawy i ze współczuciem pokiwała głową.

- Panie Prescott, nie mam pojęcia, jak sobie pan poradzi z tymi dziećmi. Zamęcza się pan. Wie pan, co myślę? Myślę, że najlepiej by było, gdyby się pan ożenił.

- Ależ, pani Chisholm, kto zechciałby takiego wagabundę za męża?

- Też pytanie! Wiele kobiet chciałoby pana usidlić, przy pańskim majątku!

- Być może - zaśmiał się - ale sidła nie są tym, o czym marzę.

- Mój Boże, jak wszyscy inni. Marzy pan o wiecznej miłości, co? Ja nie mówię o miłości, tylko o znalezieniu żony. - Wzięła talerze ze stołu i poszła do kuchni.

- Zaraz, zaraz - zawołał za nią Steve'. - Czy miłość i małżeństwo nie powinny...

- W zasadzie powinny... - wciąż z talerzami w ręku odwróciła się w stronę Steve'a - ale w dzisiejszych czasach... Dziś ślub, jutro rozwód. Lepiej, żeby pan wynajął sobie żonę.

- Wynajął żonę! - Gospodyni była bezpośrednia i miewała dziwne pomysły, ale tym razem przesadziła. - Pani Chisholm, chyba nie ma pani na myśli...

- Ależ tak. Niech pan wynajmie sobie żonę. Jeszcze kawy?
- Dziękuję, naleję sobie sam. - Chichotał, napełniając filiżankę. - Nie. - Potrząsnął głową. - Sądzę, że łatwiej wynająć gospodynię.

- Tak pan mówi? - Przerwała na moment sprzątanie. - Jak długo ma pan te dzieci?

- Niech pomyślę. Prawie dwa miesiące.

- W tym czasie miał pan trzy gosposie, plus dwa razy mnie.

I sąsiadkę do pomocy. Prawda?

- No tak - musiał przyznać Steve.

- Chodzi o to, panie Prescott - dźgnęła go palcem w pierś - że potrzebuje pan kogoś więcej niż tylko gospodynię. Przez ostatnie dwa miesiące prawie nie miał pan czasu, żeby pracować. Dzieci rosną, już niedługo będzie potrzebny ktoś, kto pomoże im odrabiać lekcje i zaprowadzi na zajęcia pozalekcyjne. Wiem to z własnego doświadczenia. W opiekowaniu się dziećmi chodzi o coś więcej niż tylko prowadzenie domu.

- Ma pani rację. - Oparł się o barek i pociągnął łyk kawy.

- Przypuśćmy, że znajdę kobietę, która zechce podjąć się tych wszystkich obowiązków. Co zaoferuję w zamian?

- Każdej kobiecie potrzebne jest poczucie bezpieczeństwa, a pan może to dać.

- No dobrze. - Uśmiechnął się. - Przypuśćmy, że znajdę ją, a ona się zgodzi. Jak, pani zdaniem, ma wyglądać taki „małżeński interes”?

- Jak każdy interes. Podpisujecie papier. Jak to się nazywa? Kontrakt? Wie pan o tym więcej ode mnie, prowadzi pan przecież interesy.

- Małżeństwo kontraktowe, co?

- Pewnie. Zawsze takie były. Czasem zawierano umowę, jeszcze zanim dzieci dorosły.

- Rozumiem. - Wciąż uśmiechnięty, popijał kawę. - A jeśli

zdarzą się komplikacje? Na przykład jedna z osób zakocha się w kimś innym?

- Właśnie o to chodzi. W takim układzie od początku nie ma mowy o miłości, jesteście więc oboje wolni. Możecie się zakochać i odkochiwać, ile razy chcecie, dopóki nie naruszacie kontraktu.

Steve zakrzuszył się.

- Co się stało, panie Prescott? - spytała zaniepokojona pani Chisholm.

- Nic takiego. - Odchrząknął, otarł łzy i podał jej pustą filiżankę. - Tylko... Zaskoczyła mnie pani. Wolna miłość. Pani Chisholm, nie spodziewałem się, że pani... - udawał oburzonego.

- Niech pan da spokój. Dobrze radzę, a pan sobie ze mnie kpi. - Włączyła zmywarę. - Chciałby pan ożenić się z miłości, pewnie z tą pięknoscią, której zdjęcie stoi na szafce i która dzwoni tu codziennie. Jest śliczna, to prawda, ale nie takiej kobiety pan potrzebuje. Poznałam to po jej głosie. „Jak on sobie radzi zkochanymi maleństwami?” - pani Chisholm doskonale naśladowała przesadną słodycz, z jaką Tricia mówiła o dzieciach. Steve chciał protestować, ale nie dopuściła go do głosu. - Niech pan już idzie, bo nie mogę spokojnie posprzątać. I proszę się nie śmiać, wie pan dobrze, że mam rację..

Chichocząc, Steve poszedł do salonu. Miała rację co do Trici. Prawdę mówiąc, w wielu sprawach miała rację.

- Idę już, do jutra - pożegnała się godzinę później. - Niech pan przemyśli moje rady, panie Prescott.

- Cały czas o tym myślę - zaśmiał się, otwierając książeczkę z bajkami na dobranoc.

Dzieci już czekały: Davey na poręczu fotela, Ginger na kolanach wujka. Dziewczynka przysunęła się najbliżej jak mogła, biorąc pod uwagę, że na jednej ręce miała gips, a w drugiej trzymała ukochaną Lili Ann.

- Proszę wejść, panno Wilson - mówiła gospodyni przy drzwiach. - Właśnie wychodzę.

Marcy miała na sobie dżinsy i sweter. W rękę trzymała wiklinowy koszyk. Słicznie wygląda, pomyślał Steve. Jak ona to robi, że we wszystkim wspaniale się prezentuje? Nagle przypomniał sobie słowa pani Chisholm. Marcy! Gdyby miał wynająć żonę, wybrałby... Przecież nie zamierza tego robić!

Widok grupki na fotelu sprawił, że Marcy przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wyglądali jak... jak rodzina. Jak szybko Steve zdobył zaufanie i uczucia dzieci. Chciałaby... Czego?

- Co tam masz, Marcy? - Ginger wygramoliła się z objęć wujka i oczom Marcy ukazał się gips.

- Ginger! Co się stało?

- Upadłam i się złamało. Popatrz, lekarz podpisał gips. Ty też podpiszesz?

- Oczywiście, skarbie. Podpiszę. Musisz na siebie uważać.

- Marcy postawiła koszyk i chciała wziąć dziewczynkę na ręce, ale Ginger usłyszała miauczenie i podbiegła do koszyka.

- Marcy, masz kotka! Skąd go masz? Mogę go potrzymać?

- Pobiegnę z powrotem, żeby zostawić Lilli Ann pod opieką Steve'a, potem uklękła obok kosza. - Pozwól mi go potrzymać.

- Najpierw usiądź. - Marcy posadziła kotka na kolanach dziewczynki. - Musisz obchodzić się z nim bardzo delikatnie.

Ginger głaskała kotka, a Marcy spojrzała na Daveya. Dzisiaj w jednym z domów zaproponowano, żeby wzięła sobie kotka. Pomyślała wtedy o chłopcu. Może jeśli bliżej pozna takie małe zwierzątko, uda mu się przewyciężyć lęk?

Davey wyraźnie był zaciekawiony, ale bał się opuścić bezpieczne miejsce obok wujka. W końcu Steve przekonał go, żeby podszedł bliżej.

- Chodźmy, Davey, zobaczmy, co też przyniosła Marcy.

Usiedli we czwórkę wokół kotka, który bezskutecznie usiłował złapać gumową myszkę.

- Przestań, Ginger! - zawołał Davey. - Nie drażnij go. Masz, kotku.

Marcy wstrzymała oddech, kiedy chłopiec podał kotu zabawkę, a potem wyciągnął ostrożnie palec i pogłaskał zwierzę. Steve dotknął jej ramienia i mrugnął porozumiewawczo.

- To był świetny pomysł - powiedział jej później, kiedy dzieci już spały.

- Też tak sędzę. - Uśmiechnęła się. - Jak tylko Davey przyzwyczai się do Pana Kotka, dostanie go w prezencie, razem z kucwetą i miskami.

- Wielkie dzięki. - Steve wykrzywił twarz, udając niezadowolenie. - Zaczekaj chwilę - zawołał, gdy skierowała się do wyjścia. - Chcę ci coś pokazać. - Wziął kopertę ze stołu i usiadł obok Marcy, rozkładając zdjęcia. - To jest dom w Connecticut. Może go kupię. Jak ci się podoba?

- Jest piękny. Popatrz na te drzewa! Davey mógłby się na nie wspinać.

- A tutaj jest mała stajnia. Widzisz? Dzieci mogły by, trzy mać kucyki.

- Wspaniałe miejsce.

Pokazywał jej różne ujęcia domu i opowiadał o nim. Sześć sypialni, plus pokoje dla pracowników. Sześć akrów ziemi. De osób trzeba by zatrudnić? Zamierza pojechać tam w przyszłym tygodniu, sprawdzić, czy są w pobliżu szkoły.

Marcy powtarzała wciąż „Doskonałe” i „Piękne”. Miała ściśnięte gardło, mrugała często, aby ukryć łzy cisnące się jej do oczu. Uśmiechała się, mówiła o pięknym położeniu domu. Nigdy wcześniej nie czuła podobnego smutku i nie umiała wyobrazić sobie tego mieszkania bez dzieci i Steve'a. Przyglądała mu się, kiedy mówił, patrzyła na jego czarujący uśmiech i zabawne zmarszczki wokół

oczu. Mój Boże. To za nim tęskniłaby najbardziej, bo... bo... go kocha!

Zaskoczona tym nagłym odkryciem, nie dosłyszała ostatniego zdania.

- C-c-co mówisz? - wyjąkała.

- Pytałem, czy chciałabyś tam mieszkać? - Pokazywał palcem dom na zdjęciu.

- Oczywiście. Każdy chciałby mieszkać w takim miejscu.

- Ale chodzi mi o to, czy... - Zawahał się. - Widzisz, pani Chisholm mówiła, że... Marcy, czy chciałabyś za mnie wyjść?

Steve był sam sobą zaszokowany. Powiedział to? Czyżby naprawdę odważył się i...

- Czy chciałabym...? - Wpatrywała się w niego, nie wierząc własnym uszom. A jednak tak powiedział. Czują przepelniającą jej serce radość.

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię. - Widząc jej zaskoczenie, chciał szybko wytłumaczyć się, dlaczego proponuje jej małżeństwo. - Nie mówię o prawdziwym małżeństwie. To byłoby bardziej jak... praca.

- Praca? - Przecież mówił „Czy wyjdiesz za mnie?”.

- Wiem, dziwnie brzmi, ale to niegłupi pomysł. Pani Chisholm mi go podsunęła. Zamiast wynajmować kolejną opiekunkę...

Marcy słuchała, nie rozumiejąc. Potrzebował kogoś więcej niż gosposię, więc wynajęcie żony było doskonałym rozwiązaniem. Wynajęcie żony? Nie mieściło jej się to w głowie. Jak on śmiał proponować, żeby... A ona myślała... Usiłowała zapomnieć o swoim uczuciu, żeby ukryć upokorzenie.

- Marcy, wiele lat temu przysiągłem sobie, że nigdy się nie zakocham. Nie chcę. Nie wierzę w miłość i „1a zawsze razem”.

- Pomyślał o swojej matce. Tak bardzo ją kochał. I odeszła. - To jest dobry pomysł. Oboje będziemy wolni. Emocjonalnie wolni, chciałem powiedzieć, bez zobowiązań. Będziemy mogli chodzić

swoimi ścieżkami. Jeśli spotkasz kogoś, ja... nie będę się sprzeciwiał.

- Ach, rozumiem. Małżeństwo bez zobowiązań? - Ku swemu zaskoczeniu mówiła spokojnie.

- No właśnie. Oczywiście zachowamy dyskrecję, ale będziesz mogła mieć... hm... przyjaciół, ja też.

- Rozumiem. - Będziesz miał różne kobiety, pomyślała, oficjalnie, bez udawania. Wzbierała w niej złość.

- Będziemy razem dla dzieci.

- Aha. Dla dzieci.

- W świetle prawa będziesz moją żoną. Dostaniesz wszystko, co tylko zechcesz.

- Rozumiem. - Oprócz miłości, dodała w duchu.

- Co o tym sądzisz?

- Sądzę - odpowiedziała miłym głosem - że pani Chisholm, której nie posądzałam o tak nowoczesne poglądy, wpadła na wspańiały pomysł. Z twojej strony to także wspańiały gest. Takie poświęcenie dla Ginger i Daveya. Kontrakt małżeński ze względu na dobro dzieci. Jestem pewna... - zadrżał jej głos - jestem pewna, że pośród swoich znajomych znajdziesz kobietę, która zgodzi się na taki układ. Ale nie ja!

- Ależ, Marcy! - Zerwał się, patrząc na nią poważnie. - Nie ma nikogo innego, żadna kobieta nie pokocha ich tak jak ty. Poczekaj - zawołał, kiedy wzięła do ręki koszyk. - Posłuchaj.

- Dość już słyszałam! Teraz ty posłuchaj! Nie jestem tak nowoczesna, jak pani Chisholm, ani tak skłonna do poświęceń, jak ty, I wierzę w miłość i „na zawsze razem”. Nie zamierzam zawierać kontraktowego małżeństwa.

- Ależ, Marcy! To nie będzie tak. Ty i ja... będzie nam dobrze razem.

Patrzyła na niego, myśląc o pocałunku, o tym, jak się wtedy czuła. Oto mężczyzna, który nie wierzy w miłość, ale jest mistrzem

w całowaniu. Przygnębiona tą myślą i własną reakcją na jego pocałunki, chwyciła koszyk. Wystraszony kot wyskoczył. Złapała go, wrzuciła z powrotem i wybiegła, trzaskając drzwiami.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie płakała, nie miała powodu. Wreszcie bezpieczna, we własnym mieszkaniu, otarła tylko jedną łzę z policzka i postawiła kosz obok kominka. Wyjęła kotka, zaczęła go głaskać, próbując uspokoić wzburzone emocje.

- Kochany kotku - szeptała mu do uszka, usiłując zagłuszyć rozczarowanie i wstyd. - Nie martw się, będzie nam dobrze razem. .. Będziemy tylko we dwoje, sami.

Wystarczyło, żeby wyciągnął ramiona, a już do niego Ignęłaś, jeszcze zanim usłyszałaś „Kocham cię”, czego, jak wiesz, nie powiedział, wypominała sobie ze wstydem.

Nieprawda, nie zamierzałam rzucić mu się w ramiona ani nie oczekiwałam wyznań miłosnych, tłumaczyła się przed sobą.

- Nie mogę cały czas nazywać cię Panem Kotkiem, potrzebujesz prawdziwego imienia - zwróciła się do kociaka, aby oderwać myśli od Steve'a.

Miała zamiar poprosić Daveya o nazwanie zwierzątka. Teraz jednak byłoby najlepiej, gdyby zapomniała o tych dzieciach. Niedługo wyjadą na zawsze. Steve też.

Marcy Wilson, jesteś w nim zakochana.

Nieemożliwe. Nie mogłaby zakochać się w mężczyźnie, który planuje wynajęcie żony. To idiotyczne. Dlaczego spodziewał się, że ona na to przystanie? Czyżby sądził, że gotowa jest wyjść za każdego, kto się oświadczy?

Była wściekła. Nie mogła znaleźć sobie miejsca w domu, chcia-

ła wyjść, pobiegać w parku, ale było już ciemno. Wzięła więc swoją małą trampolinę, wyszła na patio i zaczęła skakać, mrużąc pod nosem:

- Wariat. Absolutny wariat. Jak on śmiał!

A niech to! Steve kopnął polano i zatrzasnął drzwiczki kominka. Może źle to rozegrał. Nie, to Marcy nie chciała słuchać. Pomysł jest dobry. Im więcej o tym myślał, tym bardziej podobało mu się takie rozwiązanie. Dla niej też byłoby dobre. Pracuje ciężko, jest sfrustrowana błędami systemu opieki społecznej i co z tego ma? Figę. Wciąż głowi się nad tym, jak załatać dziurę w domowym budżecie. Gdyby za niego wyszła, nie brakowałoby jej niczego. Przez moment bawił się myślą o tym, jak opiekuje się Marcy, jak daje jej wszystko, czego pragnie.

Czego ona chce? - Przeganiał ręką włosy, nie przestając chodzić niespokojnie po pokoju.

Miłości. Marcy pragnie miłości;

Steve bał się tego słowa. Nigdy, żadnej kobiecie, nawet w chwilach największych uniesień, nie powiedział „Kocham cię.” Miłość oznacza zobowiązanie, obietnicę. Obietnicę bólu w chwili rozstania. Pani Chisholm miała dobry pomysł: układ bez przysięg i bez rozczarowań.

Zatrzymał się nagle. Czy ktoś wyznał Marcy, że ją kocha i że zostanie z nią już „na zawsze”? Gerald? Mówiła, że to stary przyjaciel. A ten facet w okularach w rogowych oprawkach? Co o nim powiedziała? Każdy z nich mógł obiecywać jej wszystko, Marcy jest taka naiwna, mówiła, że wierzy w miłość. Gdyby ktoś pograł z nią w „Kocham cię” wystarczająco długo.

A on był uczciwy, grał w otwarte karty. Powinna przyjąć jego propozycję; lepiej by na tym wyszła niż na zabawie w uczucie na zawsze. Nie wiedziała o tym?

Zadzwonię i wyjaśnię jej wszystko.

Podszedł do telefonu. Nagle usłyszał miarowe skrzypienie metalowej siatki i rytmiczne podskakiwania. Zawsze wyciąga tę przekłętą trampolinę, gdy jest wściekła? Nie będzie dzwonił dzisiaj. Niech ochłonie. Wybiegła jak oszalała tylko dlatego, że zaproponował jej małżeństwo! Jutro zabierze ją na obiad, przekona, że taki związek będzie korzystny dla obojga. I dla dzieci.

Jednej rzeczy był pewien, gdyby rzeczywiście miał zawierać małżeństwo kontraktowe - Marcy była jedyną kandydatką.

Zadzwoił rano, zanim wyszła do pracy.

- Marcy, musimy porozmawiać.
- Nie sądzę - padła lodowata odpowiedź.

A więc ciągle jest wściekła.

- Nie pozwoliłaś mi wczoraj dokończyć.
- Słyszałam dosyć. Nie potrzebuję więcej. Spieszę się, nie chcę się spóźnić do pracy.

- Poczekaj, nie odkładaj słuchawki. Może zjemy razem kolację?

- Mam inne plany na wieczór.
- A obiad? Chodźmy na obiad.
- Przykro mi, ale jestem dziś bardzo zajęta.
- Na litość boską, chyba pozwalają wam jeść, prawda? Będę czekał na ciebie w biurze. - Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła zaprotestować.

Zajęta! Już to widzę! Na pewno będzie siedziała za biurkiem i przerzucała papierki. Nikt rozsądny nie wychodziłby w taką pogodę - leje jak z cebra, gwizdze wiatr.

Przyjechał o jedenastej i dobrze zrobił, bo właśnie wychodziła, pomimo okropnej pogody. Czarna parasolka ugięła się pod naporem wiatru, płaszcz objął się o jej nogi. Szła w kierunku swojego samochodu, usiłując omijać kałuże.

- Poczekaj! Mieliśmy iść na lunch.

- Mówiłam ci, że nie mam czasu. Muszę zawieźć dziecko do rodziny zastępczej.

- Zabiorę cię. Po drodze zatrzymamy się, żeby coś przekąsić.

- Dziękuję. Wolę sama prowadzić.

Nie mogła poradzić sobie z otwarciem drzwi. Odebrał jej parasolkę i pomógł wsiąść, cały czas proponując, że zabierze ją tam, gdzie właśnie musi jechać. Nie zgodziła się, więc obszedł samochód dookoła i wsiadł z drugiej strony.

- Powinnaś zawsze zamykać drzwi. - Uśmiechnął się szeroko.

- Każdy może wsiąść.

- Widzę.

- Wolałbym kierować, ale jeśli taki układ bardziej ci się podoba, nie będę protestował. - Położył parasolkę na podłodze za siedzeniem.

- Wcale mi się nie podoba. Wolałbym, żebyś wysiadł i pozwolił mi załatwić sprawy służbowe.

- Ależ ja cię nie zatrzymuję. Jedź. Porozmawiamy po drodze.

- Jeśli masz na myśli tę samą rozmowę, którą zacząłeś wczoraj, nie ma sensu jej kontynuować. Słuchaj, jestem już spóźniona.

- Jedź. Na co czekasz? - Przesunął fotel do tyłu, żeby mieć więcej miejsca.

- Och! - Ruszyła z piskiem opon, a Steve aż przechylił się do przodu.

- Uważaj! - krzyknął. - Najważniejsze jest bezpieczeństwo, potem...

- Zapnij pasy, jeśli się boisz. - Wjechała na autostradę, ani trochę nie zwalniając.

- Jest w porządku. Całkiem dobrze. - Usiadł swobodnie. - Jestem gotów narazić życie, żeby odbyć krótką, szczerą rozmowę, wiem bowiem, że gdybym miał przypłacić to życiem, Davey i Ginger będą bezpieczni w rękach najlepszej pracownicy opieki społecznej.

- Bądź cicho! - zawołała, zwalniając nieco.

Steve uśmiechnął się. Stary volkswagen drżał niebezpiecznie, szarpany podmuchami wiatru.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, pogoda dzisiaj nie jest najlepsza na przewożenie dzieci.

- Tragedie życiowe nie baczą na pogodę - poinformowała oschle. - Przeniesienie z jednego domu do drugiego jest wystarczająco trudnym przeżyciem dla dziecka, nie wolno pozwolić, by zbyt długo czekało i dodatkowo się denerwowało.

Nagle zrobiło mu się żal dziecka przerzucanego z miejsca na miejsce. Marcy zjechała w boczną drogę i zatrzymała się przed niewielkim domem.

- Mogę jakoś pomóc? - spytał.

- Tak. - Sięgnęła po parasolkę. - Przejdź do tyłu. Angie usiądzie z przodu, żebyśmy mogła z nią rozmawiać.

Steve'owi nie było zbyt wygodnie na tylnym siedzeniu, a kiedy Marcy postawiła obok niego torbę, zrobiło się jeszcze ciasniej.

Angie była bladą ośmiolatką o zagubionym spojrzeniu. Płakała cicho. Marcy rozmawiała z nią przez chwilę zanim ruszyła. Z ich rozmowy Steve zorientował się, że dziewczynka, zaniedbywana przez matkę, została zabrana z domu i teraz miała być przeniesiona do rodziny zastępczej.

- Twoja mama przechodzi bardzo trudny okres i chce, żebyś na razie zamieszkała z panią Enright. Na pewno ją polubisz, ma konie i kury. Mieszka u niej inna dziewczynka w twoim wieku. Będziesz widywała mamę, już niedługo przyjedzie cię odwiedzić.

Marcy ruszyła, nie przestając rozmawiać z dziewczynką i pocieszać jej. Zanim dotarli na miejsce, Steve omal się nie rozpląkał. Jak Marcy to wytrzymuje?

Kiedy wysiadły, stał przez chwilę w ulewnym deszczu, żeby rozprostować kości. Potem wsiadł i patrząc na dom poprzez strugi deszczu, myślał o małej zrozpaczony dziewczynce. Miał nadzieję, że będzie szczęśliwa.

- Czy to ciebie nie przygnębia? - zapytał Marcy, kiedy wróciła.
- Takie smutne sprawy dzień po dniu?
- Ktoś musi to robić.

Milczał przez pewien czas, potem przypomniał sobie, w jakim celu spotkał się z Marcy. Tym razem postanowił postępować z nią bardziej dyplomatycznie. W nocy przygotował plan i kilkakrotnie go przećwiczył, teraz jednak wszystko zapomniał.

- W przyszłym tygodniu jadę na Wschodnie Wybrzeże - odezwał się w końcu. - Chcę obejrzeć to miejsce. Może nawet złożyć ofertę kupna.

- To miło.

- Pomyślałem, że mogłabyś wziąć kilka dni urlopu i pojechać ze mną. Pomogłabyś mi podjąć decyzję.

- Pojechać do Nowego Jorku? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Chyba zwariowałeś. Sądzę, że sam potrafisz podejmować decyzje.

- Marcy, posłuchaj... - Do diabła! Co miał powiedzieć? Planował zabrać ją do cichej restauracji, a nie przekrzykiwać ryk silnika i stukot przeklętych wycieraczek. - Nie jadłaś obiadu. Może zatrzymamy się gdzieś i...

- Nie mam czasu. - Nagle samochód zaczął jechać zygzakami. .

- A niech to! Chyba złapaliśmy gumę.

- Cholera! - zaklął Steve kilka minut później, kiedy odkręcił ostatnią śrubę i zdjął koło. - Nic dziwnego, że zeszło powietrze. Jeździsz na strzępach opon, Marcy. Przestań wreszcie wisieć nade mną z tą parasolką!

- Chciałam tylko pomóc.

- Pomożesz, jeśli wsiądziesz do samochodu. - Zaniósł koło do bagażnika. Marcy szła za nim, wciąż próbując osłaniać go od deszczu.

- Okropność - lamentowała. - Powinnam kupić nowe w zeszłym miesiącu.

- Na to wygląda. - Wyjął koło zapasowe. - Nie jest lepsze od tego, które pękło. Marcy, bardzo cię proszę, wsiądź do samochodu. Nie ma potrzeby, żebyśmy oboje przemokli.

- Ale ja chciałabym pomóc. Może coś potrzy mam?
Odłożył koło, wziął ją pod rękę i siłą zaprowadził do samochodu.

- Wsiadaj. - Odebrał od niej parasolkę, złożył ją i podał Marcy. -I zabierz to. - Trzasnął drzwiami. Otarł twarz i powrócił do pracy.

- Kobiety! „Wiem, że powinnam kupić nowe w zeszłym miesiącu”
- mówił do siebie. - Raczej w zeszłym roku. Mogła się zabić, jeżdżąc na takich oponach. - Wstrząsnął nim dreszcz, bynajmniej nie z zimna.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy wreszcie usiadł obok niej.

- Powinniśmy zadzwonić po pomoc drogową. Zupełnie przemokłeś.

- Owszem. Tak samo bym zmókł, gdybym poszedł do telefonu.

- Włączył się do ruchu. - Nie rozumiem cię, Marcy. Jeździć na takich oponach! To bardzo niebezpieczne, nie wiesz o tym?

- Wiem. - Przygryzła usta. - Miałam zamiar je kupić. Naprawdę. Ale... zdarzyły się inne rzeczy.

Pewnie. „Tu pożyczę, a tam oddam”. „Obracasz pieniędzmi” i zapominasz o podstawowych rzeczach. Lepiej, żebyś za mnie wyszła, byłabyś naprawdę pod dobrą opieką, zżymał się w duchu Steve.

- Dokąd jedziesz? - spytała, gdy zaczął zjeżdżać z autostrady.

- Do najbliższej stacji obsługi. Trzeba natychmiast wymienić opony.

- Ależ skąd! Zapasowa na pewno wytrzyma, dojedziemy do biura. Jutro się tym zajmę.

- Aha. Już to widzę!

- Naprawdę, Steve, nie zwracaj sobie głowy.

- Martwię się o ciebie. Jeździsz na łysych oponach.

- Moje opony nie powinny cię obchodzić.
- Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego pół godziny temu. -
Roześmiał się. - Całkiem przemokłem i zmarzłem na kość.
- Dobrze wiesz, o czym mówię. Ja... wołałabym pojechać do
znajomego mechanika w Auburn. Mam do niego zaufanie. - Pete po-
czeka, aż dostanę wypłatę, myślała, ale Steve już zatrzymał się na stacji.
- Macie opony do volkswagena?
- Pewnie.
- Marcy gorączkowo zastanawiała się, czy zostały jeszcze jakieś
pieniądze na jej koncie. Ile to może kosztować?
- Weźmiemy pięć.
- Pięć! Wskoczyła z samochodu.
- Steve, po co nam aż pięć opon! Wystarczy... - Nie dokoń-
czyła, gdyż zamknął jej usta pocałunkiem. Potem nie była już
w stanie nic powiedzieć.
- Ależ, kochanie, potrzebujemy właśnie tyle. Pamiętaj, że to nie
ty musiałaś wymieniać koło w ulewnym deszczu. Ach te żony!
- zwrócił się do pracownika stacji. - Wydaje im się, że samochód
potrzebuje jedynie benzyny. - Podał mężczyźnie kartę kredytową.
- Proszę zatankować i sprawdzić olej. Niech się pan nie spieszy.
Będziemy w kawiarni naprzeciwko. Chodź, kochanie. - Objął Mar-
cy ramieniem i poprowadził na drugą stronę ulicy.
- Steve! - protestowała, zdyszana, kiedy biegli przez jezdnię.
- Wcale nie chcę tych opon. Powiedziałeś temu człowiekowi...
Udawałeś, że jestem twoją żoną!
- Tylko w ten sposób mogłem cię uciszyć.
- Nie masz prawa.
- Ciii - szepnął - ludzie pomyślą, że się kłócimy.
- A niby co innego robimy? - odcięła się, ale Steve był uśmie-
chnięty.
- Proszę stolik dla dwojga - powiedział kelnerce - dla mojej
żony i dla mnie.

Miłość, małżeństwo, to dla niego tylko żart, myślała.

- Proszę o gorącą kawę - zamówił, kiedy usiedli w jednym z boksów. - Napijesz się kawy?

Przytaknęła, łagodniejąc na widok jego mokrych włosów i przemoczonego ubrania. Musiał zmarznąć, ale nie skarżył się. Ze względu na niego cieszyła się, że tu przyszli, że będą mogli odpocząć w ciepłym, przytulnym miejscu.

- Ja... naprawdę doceniam twoją pomoc i... - Może Jennifer pożyczyci mi pieniądze, zastanawiała się. - Spłacę dług, kiedy tylko będę mogła.

- Potraktuj to jako prezent, dla nas obojga.

- Dla nas obojga?

- Dla twojego bezpieczeństwa i mojego spokoju. - Zachichotał. - Żebym nie miał koszmarów, ilekroć pomyślę o twoim samochodzie.

- Mimo wszystko... - nie dokończyła. Kelnerka postawiła przed nimi kubki z gorącą kawą.

- Proszę stek - zamówił. - Co weźmiesz, Marcy?

Przejrzała szybko menu.

- Zupę grochową.

- I zupę dla mojej żony - dodał.

- Powinieneś z tym skończyć - upomniała go.

- Z czym?

- Z żartami na temat małżeństwa.

- A kto żartuje? - Wciąż uśmiechał się szeroko, potem spoważniał i ujął jej dłoń. - Pomyśl o tym, Marcy. Dobrze pomyśl. To korzystny interes.

- Korzystny interes - powtórzyła. A więc tym jest dla niego małżeństwo? Dobrym interesem?

- Pewnie. - Napił się kawy. - Przyznaję, to korzystne dla mnie. Nie będę się musiał martwić o Ginger i Daveya. Ale taki układ będzie miał dobre strony także dla ciebie.

- Nie sędzę. Doprawdy, Steve, nie chcę o tym rozmawiać.

- Spróbuj dostrzec jego zalety - mówił, jakby nie słyszał jej protestu. - Mam wrażenie, że jesteś bardzo sprawna, i w pracy, i w opiece nad dziećmi. Ale nie w prowadzeniu własnych spraw.

- Potrząsnął głową. - Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zajmie.

- Całkiem dobrze sobie radzę!

- Nie byłbym taki pewien. W każdym razie przedstawiam praktyczny plan.

- Nie chcę o tym mówić! Zmieniłeś koło w moim samochodzie, ale ja nie zmieniałam zdania.

- No właśnie. Potrzebujesz kogoś, kto zajmie się twoim samochodem. - I zapłaci twoje rachunki, dokończył w myślach. - Nie próbuję cię ograniczać. Będziesz zupełnie wolna. I wiesz co? Mówiłaś o idealnej rodzinie zastępczej, pamiętasz?

- Tak. - Zaskoczył ją, mówiąc o tym.

- Jeśli za mnie wyjdiesz, nie będziesz musiała pracować w złym systemie opieki społecznej. Będziesz mogła spisać swoje pomysły i przedstawić swój projekt reformy systemu... Może jakaś fundacja albo gmina zechce podjąć się realizacji takiego eksperymentu? A moja firma na pewno będzie wspomagać fundację, obiecuję. W ten sposób osiągniesz znacznie więcej niż teraz, przewożąc dzieci z miejsca na miejsce. Nie rozumiesz?

- Wiesz, Steve, masz rację. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Ale... - Potrząsnęła głową. - Nie muszę za nikogo wychodzić, żeby napisać taki projekt.

- Zrozum, żeby to zrobić, musisz być niezależna, bez zobowiązań, z wyjątkiem dzieci. Oboje wolni, będziemy mogli rozwijać własne pasje. Nie podoba ci się taki pomysł? - Przerwał, bo kelnerka przyniosła zamówienie. - Szybka obsługa - pochwalił, a kobieta rozpromieniła się w odpowiedzi na jego uśmiech.

Tak, pomyślała Marcy. Będzie rozdawał uśmiechy i pocałunki, a ja oszaleję z zazdrości... Nieprawda, nie mam powodu do zazdro-

ści, wcale nie zależy mi na nim. Tylko wydawało mi się, że jestem w nim zakochana...

- Jesteś zakochana?

- Co takiego? - Zaczerwieniła się, przyłapana.

- Kochasz kogoś?

- Nie, absolutnie - odpowiedziała, może z nieco przesadnym zaangażowaniem.

- Więc dlaczego nie chcesz wyjść za mnie? Oszczędzę ci rozczarowania. Uwierz mi, Marcy - przekonywał z zapałem - zabawa w miłość nie trwa wiecznie i tylko rani.

RRS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Marcy oparła się wszystkim argumentom. Odetchnęła, kiedy odebrali jej samochód i wrócili do Auburn. Wciąż miała przed oczami jego twarz, słyszała żartobliwą rozmowę, niewiele więc zdołała zrobić w pracy. Żeby trzymać się od niego z daleka, postanowiła spędzić weekend z Jo i jej rodziną.

W domu nakarmiła kotka sama, nie prosząc o to Daveya - wkrótce te dzieci znikną z jej życia.

- Tylko ty dotrzymasz mi towarzystwa - mówiła, pieszcząc zwierzątko.

Umyła głowę i długo stała pod prysznicem, puszczając coraz bardziej gorącą wodę.

Mam szczęście, pomyślała, że nie muszę modelować włosów

- same układają się w naturalne fale. W ogóle nie jest ze mną najgorzej - jestem zgrabna i mądra. No, może nie najmądrzejsza, czasem za dużo kupuję, zdarza mi się popaść w długi. Ale nie jestem leniwa, dobrze wykonuję moją pracę. Mam pogodne usposobienie, łatwo nawiązuję kontakty z ludźmi. Umiem jeździć na nartach, pływać i niezłe gram w tenisa. Jestem kimś więcej niż gosposią i nianią, Steve!

Wypowiedziała to imię na głos i nagle jej myśli zaczęły płynąć w innym kierunku. Przypomniała sobie jego uśmiech, ramię otaczające jej talię, gdy szli do kawiarni, pocałunki...

- Mogłabym cię pokochać, Steve, i dać ci szczęście - mruknęła. Wieczorem poszli z Tomem potańczyć. Było bardzo miło, wró-

ciła do domu o drugiej w nocy. Mimo to Tom z chęcią zgodził się odwiedzić ją rano do Jo.

Steve słyszał, kiedy Marcy wróciła z pracy, później rozległo się pukanie do drzwi i wyszła gdzieś z... Rogowymi Oprawkami, jak przypuszczał. Nie odrywał się jednak od lektury. Mówiła, że ma randkę. W porządku, „będziemy chodzić własnymi drogami”, to jego własne słowa. Żadnych więzów, żadnych zobowiązań. Akceptuje jej przyjaciół i romanse. Oczywiście, musi mieć czas dla dzieci. Dzisiaj wyszła, ale jutro zjedzą razem śniadanie. Czytał Ginger bajkę, w myślach życząc Marcy nieudanego wieczoru.

Marcy miała wątpliwości, czy Tom dotrzyma słowa, ale zjawił się punktualnie o piątej. Nie miał też nic przeciwko dodatkowemu pasażerowi.

- Pan Kotek? Czemu nie wymyśliłaś mu lepszego imienia?
- Nie mogę się zdecydować. - Marcy wahała się między poproszeniem Daveya o nazwanie zwierzęcia, a własnym postanowieniem odizolowania się od Steve'a i dzieci.

Lubiła Toma, chociaż nie przestawał przekonywać jej, że powinna wykupić pakiet akcji. Nie chciała go zmartwić wiadomością, iż nie stać jej nawet na jedną akcję. Mimo tego spędzili miły dzień, jeździli razem na nartach, potem zjedli spaghetti przygotowane przez Marcy i Jo. Chłopcy zachwycali się Panem Kotkiem. Naza-jutrz Marcy zabrała ich na stok dla początkujących, żeby rodzice mogli pojeździć na trudniejszych trasach. Wieczorem wrócili razem do Auburn.

A niech to! Nie było jej przez cały weekend. Kiedy nie wróciła w sobotę rano, poszli sami na śniadanie. Dzieci zdawały się zadowolone, ale czegoś brakowało. Steve tęsknił za uśmiechem Marcy

i dołeczkami na policzkach. Nie było jej również w niedzielę. Zastaną wiał się, z kim spędza czas.

W poniedziałek wstała wcześniej i zjadła śniadanie w barze obok biura. Kiedy weszła do swojego gabinetu, zadzwonił telefon.

- Panno Wilson, ktoś musi porozmawiać z tym chłopcem - denerwowała się pani Emory. - Jest naprawdę nieznośny.

- Jimmy? Bardzo mi przykro, pani Emory. Co się stało?

- W czwartek wdał się w bójkę w szkole i został zawieszony. Próbowałam skontaktować się z panią w piątek, ale nie było pani w biurze. Nie wiem, co robić. - Kobieta zdawała się załamana.

- Przepraszam, musiałam wtedy wyjechać. Porozmawiam dziś z Jimmym. To dziecko ma problemy.

- Wiem, panno Wilson. Jego opiekun prosił o cierpliwość. Chciałabym pomóc, ale Jimmy jest nie do wytrzymania.

Marcy próbowała uspokoić panią Emory, była wdzięczna, że kobieta nie żądała zabrania chłopca z jej domu. Przynajmniej się stara, pomyślała. Współczuła jej, Jimmy był niewątpliwie trudnym dzieckiem. Postanowiła porozmawiać z jego nauczycielką.

- To bardzo zdolny chłopiec, ale niespokojny, ciągle z kimś skłócony.

Czekała na niego pod szkołą.

- Czy mogę wrócić do mamy, panno Wilson?

- Jeszcze nie, Jimmy, twoja mama nie czuje się najlepiej. - Nie mogła mu powiedzieć, że nikt nie wie, gdzie jego mama się podziewa.

- Nie chcę mieszkać u pani Emory, oni mnie nie lubią.

- Ależ, Jimmy, na pewno cię lubią.

- Nieprawda, nikt mnie nie lubi.

- Ja cię lubię i twoja nauczycielka. Mówiła, że jesteś bardzo zdolny. No i grasz w drużynie piłkarskiej. Podoba ci się piłka nożna?

- Pewnie. - Ożywił się. - Jestem w tym dobry. Trener wybrał mnie na bramkarza, Sid Bates był wściekły, bo myśli, że jest najlepszy.

- To z nim się pobiliś?

- Yhm. - Chłopiec spojrział na swoje zniszczone buty, potem na Marcy. - To on zaczął. Powiedział, że nie mogę być bramkarzem, bo nie mam butów.

W ten sposób Marcy dowiedziała się, w czym problem. Jimmy był jedynym chłopcem w drużynie, który nie miał specjalnych butów. Pani Emory powiedziała, że nie ma na nie pieniędzy. Chłopiec robił zakupy dla sąsiada, dostał za to pięć dolarów i poszedł do sklepu.

- Wie pani, ile kosztują takie buty? Szesnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów! Nigdy nie będę miał całych szesnastu dolarów.

Marcy miała przy sobie niecałe piętnaście dolarów.

- Proszę. Dołóżysz trochę i wystarczy na buty. - Dała chłopcu pieniądze. - Postaraj się być grzeczniejszy, nie wdawaj się w bójki. Mądrzy ludzie tak nie robią, a nauczycielka mówi, że jesteś mądry.

Długo z nim rozmawiała, wreszcie obiecała poszukać dla niego jakiegoś innego domu.

Po pracy poszła do Geralda. Przygotowała obiad, grała w szachy z panem Simsem, potem do północy słuchała płyt z jego synem.

Steve dwa razy dzwonił do niej, ale odpowiadała, że jest bardzo zajęta. Koło południa zadzwoniła Jennifer.

- Marcy, nie potrafię żyć bez Ala.

- Jenny, uspokój się i wytłumacz mi, o co chodzi.

- Zostawił mnie. Och, Marcy, co mam robić?

- Czekać na mnie, zaraz przyjadę.

Zwolniła się z pracy i pojechała do domu, żeby się spakować. Steve'a na szczęście nie było w domu. Przejrzała pocztę i z radością odnalazła wśród listów czek od Jennifer.

- Co mam z tobą zrobić? - zapytała kotka tulącego się do jej stóp. - Nie mogę zabrać cię ze sobą. Ani zostawić sąsiadom - dała ciszej. Podniosła słuchawkę.

- Pewnie - zgodził się Gerald. - Zajrzyj do biura i zostaw klucz, zabiorę zwierzaka wieczorem.

Siostra mieszkała w ekskluzywnej dzielnicy zaprojektowanej przez jej męża. Oprócz dużych, wygodnych domów było tu także pole golfowe, dwa korty tenisowe, dwa baseny oraz olbrzymi klub. Ochrona kontrolowała przyjeżdżające osoby. A jednak pieniądze to nie wszystko, pomyślała Marcy.

Jennifer, wciąż w nocnej koszuli i szlafroku, wyglądała okropnie. Siedziała nad kubkiem zimnej kawy w kuchni pełnej brudnych naczyń i resztek jedzenia. Była nie uczesana, miała zaczerwienione, zapuchnięte oczy. Podbiegła do wchodzącej Marcy, która długo pocieszała ją, przytulała, tłumaczyła, że wszystko będzie dobrze...

Zupełnie tak samo, jak oddanym jej w opiekę dzieciom.

Steve trzymał w ręku liścik od Marcy i nerwowo stukał w obramowanie kominka.

Jeszcze raz dziękują za twoją pomoc. Zwracam też pieniądze za nowe opony.

Unika go, to jasne.

Marcy Wilson, nie możesz uciekać w nieskończoność. Zobaczmy się wieczorem, postanowił, potem wrzucił czek do ognia.

Czekał, aż wróci, a kiedy usłyszał kroki, wyszedł szybko na korytarz. Gerald otwierał drzwi do mieszkania Marcy, najwyraźniej swoim własnym kluczem. Steve uklonił się niedbale, przeszedł obok, szybko wsiadł do swojego samochodu i ruszył z piskiem opon.

- Nigdy nie myślałam, że Al mógłby odejść. Nie mogę w to uwierzyć - żaliła się Jenny.

Marcy też zaskoczyła ta wiadomość; w dniu ślubu byli tak zakochani.

„Nie wierzę w miłość i... na zawsze razem”, mówił Steve Prescott.

- Nie rozumiem. Po prostu wyszedł, bez powodu?

- No... niezupełnie. Wczoraj późno wrócił, zaczęłam go wypytywać. Powiedział, że ma dosyć ciągłej podejrzliwości i bezpodstawnych oskarżeń. Potem zabrał kilka rzeczy i wyszedł.

- Myślę, że to chwilowe. Chodź, pomożesz mi się rozpakować i opowiesz o wszystkim. Gdzie będę spać? Pokaż mi mój pokój.

- Zostań ze mną, nie chcę być sama. To nie jest chwilowe, Marcy, przeczuwałam to od dawna.

Reszta mieszkania była w idealnym stanie: kwiaty, poduszki na sofie, gazeta na stole. Zupełnie jak z pisma o urządzaniu wnętrz. Sypialnia przedstawiała zupełnie inny widok: na łóżku rozrzucona pościel, wszędzie ubrania, na podłodze brudne skarpetki Ala.

Marcy wyjmowała swoje rzeczy, a Jenny rzuciła się na łóżko i zaczęła opowiadać. Mówiła, że spodziewała się tego już wcześniej. Al coraz częściej spędzał czas poza domem; wyjazdy za miasto, kolacje z klientami, golf w niedziele.

- Oczywiście zawsze mi mówił, gdzie idzie, ale sama wiesz, jak kobiety lgną do niego. Pochlebiają mu, a on jest taki... taki... wrażliwy.

Raczej naiwny, pomyślała Marcy. Zaniósła kosmetyczkę do łazienki. Al dobrze wiedział, że się podoba kobietom i bardzo to lubił. Co innego Steve, on był zupełnie nieświadomy swojego uroku. Po prostu uśmiechał się czarująco, zupełnie nie zdawał sobie sprawy, jaki efekt wywołuje.

- .. .ta rozwódka - mówiła dalej Jennifer - która kupiła niedawno dom we wschodniej części osiedla. Dzwoni do Ala przynajmniej

raz w tygodniu, żeby przyszedł zobaczyć to czy tamto. A jeśli nie dzwoni, paraduje wokół basenu w bikini. Jaką ma figurę! Ale włosy farbuję, mogę się założyć. Och, Marcy, od początku widziałam, że ma ochotę na Ala.

Marcy słuchała zrozpaczonej siostry i zastanawiała się nad sytuacją. Al lubił pochlebstwa, to prawda, ale nie podejrzewała go o zdradę.

- Wstawaj - poleciła siostrze. - Weź prysznic, a ja przygotuję coś do jedzenia.

- Nie jestem głodna.

- Ale ja jestem. Nie mogę patrzeć na ciebie, wyglądasz załóżnie, chociaż jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znam. No już, marsz do łazienki.

Jenny poszła się kąpać, a Marcy tymczasem pościeliła łóżko i zaczęła sprzątać kuchnię; wstawiła brudne naczynia do zmywarki, wytarła blaty i stół. Nie mogła skoncentrować się na problemach siostry, bo wciąż myślała o tym, co Steve mówił o miłości. Nieprawda, przekonywała się w myślach, miłość nie przemija. To ludzie się zmieniają, zaprzatnięci codzienną egzystencją; Al wciąż zajęty pracą, Jenny znudzona beczynościami w swoim pięknym domu. Potrzeba prawdziwej miłości, żeby małżeństwo przetrwało monotonię codzienności, bez uczucia związek nie ma szans.

Musimy wybrać się po zakupy, zdecydowała Marcy, gdy zobaczyła prawie pustą lodówkę. Znalazła tylko puszkę zupy, podgrzała ją i podała z krakersami. Jenny wyglądała znacznie lepiej w czarnych spodniach i beżowym swetrze. Zjadła trochę, nie przestając narzekać na męża. Marcy przeanalizowała fakty i doszła do wniosku, że nie ma dowodów na istnienie „innej kobiety”.

- Kiedy odszedł dziś rano, potwierdził moje podejrzenia. Spodziewałam się tego, czekałam, kiedy to nastąpi.

Marcy przyglądała się siostrze. Czy to możliwe, że Jenny doprowadziła swoimi podejrzeniami do odejścia Ala? Kiedy widziały się

ostatnio, Jenny była nieznośna., „Na miejscu Ala też spędzałabym niedziele poza domem”, Marcy dobrze pamiętała swoje własne słowa. Jenny zachowywała się tak, jakby cały czas, nawet po ślubie, musiała zabiegać o względy męża, konkurować z innymi kobietami.

- Dziś rano powiedziałam, że dłużej tego nie zniosę. Al odpowiedział, że niedobrze mu się robi od moich podejrzeń i narzekania, a potem wyszedł. To nie jest chwilowe odejście. Jutro ma przyjść po swoje rzeczy.

Marcy nie słuchała. Musi zmienić podejście Jenny do życia. Tylko jak?

- Nie wierzę, że Al kiedyś wróci.
- Jeśli wciąż będziesz tak myślała, to na pewno nie wróci.
- Nie mów tak!
- Jenny, musisz zmienić obraz w swoim umyśle.
- Obraz w moim... O czym ty mówisz?
- O technice wizualizacji. Jeśli czegoś bardzo pragniesz, musisz myśleć, że to się już stało.
- To niemożliwe, Marcy.
- Ależ tak. Możesz zmienić swoje życie, jeśli zmienisz sposób myślenia.
- Od czego mam zacząć?
- Pomyśl o tym, że Al cię kocha i że jesteście szczęśliwi.
- Ale to nieprawda. Nie ma go tutaj.
- Jenny, kontroluj swoje myśli. W twoim umyśle Al cię kocha i jesteście szczęśliwi.
- Marcy, tak nie jest.
- Posłuchaj, musisz się w to zaangażować sercem i myślami. Myśl pozytywnie, powtarzaj ciągle, nawet głośno: „Al mnie kocha i wróci do domu”.

Jenny nie była przekonana, ale posłusznie powtórzyła zdanie kilkakrotnie.

- Staraj się wyglądać na szczęśliwą. - Marcy bardziej wierzyła w czyny niż słowa, chciała więc, żeby Al zobaczył żonę w dobrym nastroju. - Kiedy Al ma przyjść po rzeczy?

- Jutro wieczorem.

- Świetnie. Zaczniemy od kupienia choinki.

- Choinki? Nie chcę myśleć o świątach. Poza tym dziś jest dopiero dziesiąty.

- Zaczniemy wcześniej. Uwielbiasz święta, spędzasz je z Alem

- mówiła Marcy łagodnie. - Siedzicie razem przy choince, on wręcza ci diamentową bransoletę i mówi, jak bardzo cię kocha.

- Naprawdę myślisz, że...

- Ważne, co ty myślisz. Wkładaj płaszcz, idziemy po drzewko.

Najpierw jednak Marcy zadzwoniła do Toma.

- Jestem u siostry w Shingle Springs. Mógłbyś przyjechać jutro na kolację? Zabierz ze sobą kolegę. Jenny potrzebuje towarzystwa.

Al zaniemówił na widok roześmianej gromadki, która sączyła drinki i dekorowała choinkę.

- Cześć, Al - powitała go Jenny. - Zapomniałam, że masz przyjść. Marcy przyjechała mi pomóc. To jest Phil Glover. Toma Jenkinsa chyba znasz. - Al uklonił się grzecznie. - Chcesz drinka?

- Nie, dziękuję.

Marcy widziała, że nie odrywa oczu od żony, która wyglądała wspaniale w zielonym aksamitnym kombinezonie.

- Poradzisz sobie z pakowaniem? - pytała słodko Jenny. - Może ci pomogę?

- Nie trzeba, dzięki - odpowiedział kompletnie zaskoczony Al. Marcy mrugnęła porozumiewawczo do siostry, kiedy się odwrócił. Jenny nie była tą samą kobietą, od której odszedł wczoraj.

Steve denerwował się nieobecnością Marcy. Chciał zapytać ją o prezenty gwiazdkowe dla dzieci i o zdanie na temat nowego do-

mu. Gerald na pewno wie, gdzie ona jest, ale Steve za nic w świecie nie zamierza go o to pytać.

W czwartek zadzwonił pośrednik z biura nieruchomości z informacją, że ktoś inny jest zainteresowany kupnem, więc nazajutrz Steve wsiadł w samolot do Connecticut.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Marcy szykowała się do wyjazdu. Poprzedniego dnia Al wrócił i między małżonkami zapanowała zgoda. Przebaczyli sobie wszystko i to nawzajem.

- Twój przyjazd wszystko zmienił - mówiła Jenny.

- Nonsens. - Marcy włożyła spodnie do torby. - Kochacie się, bez mojej pomocy też byście się pogodzili.

- Pewnie tak. Widzisz, Marcy, kłótnie oddaliły nas od siebie i mogłyby się znowu powtórzyć, gdyby nie to, że jestem teraz inną osobą. I to dzięki tobie.

Marcy zamknęła torbę i spojrzała pytająco na siostrę.

- Wcześniej obawiałam się szczęścia. Kiedy tylko Al zniknął mi z oczu, rodziły się we mnie podejrzenia i złe myśli. - Uśmiechnęła się. - Ale ty nauczyłaś mnie nie bać się i ufać. Dziękuję ci.

Marcy pędziła w stronę Auburn, zdecydowana nie pozwolić Steve'owi zniszczyć jej życia. Była szczęśliwa, zanim go poznała i to się nie zmieni. Oczywiście, nie będzie unikała dzieci, ale ma tyle zajęć: zaległości w pracy, zakupy świąteczne, kartki z życzeniami. No i przyjęcia: u Jo i Meg. Tak, będzie bardzo zajęta. I będzie myślała pozytywnie.

- Marcy! - zawołała Ginger na jej widok. - Gdzie byłeś? Gdzie jest kotek? Obiecałaś, że będziemy mogli go karmić, a potem nie mogliśmy cię znaleźć.

- Musiałam wyjechać. - Przytuliła dziewczynkę.

- Steve wyjechał - informowało dziecko. - Do... ticut.
- O... - Marcy próbowała ukryć rozczarowanie. Przecież postanowiła go unikać, dlaczego więc jest zawiedziona?
- My też tam pojedziemy. Już niedługo. Będziemy mieli kucyki.
- Wspaniale.

A więc jednak Steve kupi ten śliczny dom i zamieszka w nim z dziećmi. A ja zostanę tu. Nie zniosę tego... Kontroluj się, Marcy. Pozytywne myślenie. Bierz życie takim, jakie jest.

- Pomożecie mi ubrać choinkę?
- Pewnie! - Ginger była zachwycona.

Przybrali drzewko małymi lampkami, złotymi dzwoneczkami i parą białych gołąbków. Marcy ozdobiła też kominek, w którym rozpałała ogień, a na stole postawiła gwiazdę betlejemską. Pokój wyglądał ślicznie, bardzo świątecznie i... pusto.

- Świetnie, że dzwonicz - zawołała pani Wilson, gdy usłyszała Marcy w słuchawce. - Mam wspaniałą nowinę. Dostałam dziś od Billa bilet na samolot i zaproszenie na święta. Jutro jadę do Japonii.

Kilka minut później Marcy siedziała w fotelu, wpatrzona w płonący ogień. Z radia płynęły nastrojowe melodie, które potęgowały jej smutny nastrój. Dość uzalania się nad sobą, postanowiła. Podeszła szybko do telefonu i zaprosiła Toma na jutrzejszy wieczór. Sama zorganizuje przyjęcie świąteczne. Zastanawiała się nad listą gości i menu. Myślała też, w jaki sposób zdobędzie pieniądze, żeby zwrócić dług Jenny. Może wezmę pożyczkę? Ależ ja lubię obracać pieniędzmi, śmiała się w duchu.

Kiedy wreszcie zasnęła, zobaczyła siebie biegnącą przez park. Pośrodku parku stała olbrzymia choinka. Obok niej Steve. Biegła wprost w jego ramiona, Przytulił ją i całował, a dzwoneczki dzwoniły głośniejsze, coraz głośniejsze...

Wciąż w półśnie, wyciągnęła rękę w poszukiwaniu słuchawki. Kto, u licha, mógł dzwonić o tej porze?

- Halo!

- Panna Wilson? Panno Wilson, może pani przyjechać? - pytało dziecko, płacząc.

- Tak, to ja. Kto mówi? Co się stało?

- Proszę, panno Wilson, niech pani po mnie przyjedzie.

- Jimmy? - Marcy usiadła. - Jimmy Braxton?

- Tak. Przyjedzie pani po mnie?

- Co się stało? Poproś do telefonu panią Emory.

- Jej ta nie ma. To znaczy... mnie tam nie ma.

- Gdzie? - Spojrzała na zegarek. Kwadrans po północy. - Jimmy, gdzie jesteś?

- Nie wiem dokładnie. Ja...

Zaniepokojona Marcy chciała zadać więcej pytań, ale w słuchawce odezwał się męski głos:

- Dobry wieczór. Mówi Pete Turner. Zabrałem dzieciaka z autostrady.

- Z autostrady! Co...?

- Bawił się w autostopowicza. Ale ja wiem dobrze, że dzieciak w tym wieku nie powinien być tutaj w środku nocy. Różni ludzie się ta kręcą, nie wiadomo, co się może stać. Dobrze, że trafił na mnie.

- Rzeczywiście. Dziękuję panu, panie...

- ..Turner. Pete Turner. Chciałem dzwonić na policję, ale błagał mnie, żebym tego nie robił. Powiedział, że pani się nim zajmie.

- Oczywiście.

- Co mam z nim robić? Zostawić samego? Tu nie jest bezpiecznie.

- Gdzie pan jest?

- W Jake's Place, to zajazd dla ciężarówek przy drodze numer osiemdziesiąt.

Marcy obiecała, że zaraz przyjedzie; nieznajomy zgodził się zaczekać.

Miała nadzieję, że pani Emory nie zauważy nieobecności chło-

pca. Jimmy już wcześniej próbował uciekać; kolejna próba mogłaby się skończyć pobyt w policyjnej izbie dziecka. Tymczasem Jimmy potrzebował domu i ciepła. Marcy czuła się winna; problemy Jenny i użalanie się nad sobą pochłonęły ją do tego stopnia, że zapomniała o obietnicy danej chłopcu.

Szła w stronę samochodu, gdy nagle oślepiły ją światła. Auto zatrzymało się obok niej. Zawróciła w stronę domu. Ktoś biegł za nią.

- Marcy!

Rozpoznała ten głos i zatrzymała się, zdyszana.

Steve szedł w jej stronę.

- Nie poznałam cię. - Wciąż drżała. - Myślałam... Przestraszyłam mnie.

- Powinnaś się bać - upomniał ją. - Co, u diabła, robisz tu sama w środku nocy?

- Chodzi o dziecko. Muszę go natychmiast zabrać.

- O tej porze?

- Nie mam czasu, muszę jechać.

- Sama nie pojedziesz. Wsiadaj. - Zaprowadził ją do samochodu, nie miała czasu protestować. - Dokąd jedziemy?

- Jake's Place. To zajazd dla ciężarówek przy drodze numer osiemdziesiąt.

Po drodze opowiedziała mu o Jimmym.

- Powinnaś była go przenieść, wiedziałam, że źle się czuł u pani Emory. - Głos jej drżał. - Musiał być taki samotny.

- Nie, Marcy. - Steve ujął jej dłoń. - Zadzwoił do ciebie, tak?

- Tak, ale...

- Wiedział, że może na ciebie liczyć, że ci zależy.

- Może - westchnęła, nie dowierzając.

Zatrzymali się na parkingu przed zajazdem.

- Na pewno. - Steve odwrócił się w jej stronę. - Jeśli jesteś w tarapatkach, dzwonicz do kogoś, komu ufasz. Jimmy wiedział, że

może zwrócić się do ciebie. - Dotknął jej policzka. - Chodźmy zobaczyć, co porabia nasz uciekinier.

Był to typowy zajazd, wypełniony przemieszonym zapachem kawy i hamburgerów. Mężczyzna, który zajął się Jimmym, wyjaśnił, że ma dzieci w podobnym wieku, dlatego zaopiekował się chłopcem, kupił mu kanapkę i czekoladę. Marcy podziękowała nieznanemu, po czym usiadła obok zapłakanego dziesięciolatka.

- Dlaczego to zrobiłeś, Jimmy? W jaki sposób uciekłeś? Czy pani Emory o tym wie?

- Wyszedłem przez okno, kiedy wszyscy spali. Nie chcę tam wracać, panno Wilson. Oni mnie nie lubią.

- Ależ, Jimmy, nie mów tak. - Marcy czuła się rozdarta. Powinna zbesztać chłopca za ucieczkę, wytłumaczyć mu, że nie może tego robić, bo będzie miał kłopoty. Jednocześnie chciała się dowiedzieć, co jest niewłaściwe w stosunkach z opiekunami, pocieszyć wystraszone dziecko.

- Proszę, niech pani nie każe mi tam wracać. Oni mnie nie lubią.

- To nieważne. - Zaskoczył ich spokojny głos Steve'a, który właśnie przyniósł kawę. Podał jeden kubek Marcy, potem usiadł naprzeciwko i spojrzał uważnie na chłopca. - Spotkasz jeszcze wielu ludzi, Jimmy. Jedni będą cię lubili, inni nie. Najważniejsze, co ty czujesz. Lubisz siebie? Lubisz siebie?

- Hm... Nie rozumiem.

- To proste pytanie. Lubisz siebie, czy nie?

Wpatrując się w Steve'a, Jimmy powoli skinął głową.

- Dlaczego? Dlaczego się lubisz?

- Bo... bo... Dobrze gram w piłkę.

- W porządku, wystarczy na początek. Co jeszcze w sobie lubisz?

Powoli Steve wydobył z chłopca, że całkiem dobrze się uczy, nie bije się z chłopakami, chyba że go zaczepiają, czasami robi zakupy sąsiadce, która niedomaga.

- Sporo powodów, żeby się lubić. W dodatku jesteś bystry, prawda?

Jimmy znów potaknął.

- Powiedz mi więc - Steve upił łyk kawy - dlaczego taki mądry dzieciak robi głupie rzeczy? Ucieka w nocy z domu i idzie do nikąd?

- Ja szedłem do mojej mamy.

- A wiesz, gdzie ona jest?

- No... nie. Ale może ją znajdę. - Przygryzł wargę, jednocześnie przybierając buntowniczą minę. - No i byłem zły, bo pani Emory zabrała mi pieniądze od Marcy.

- Zabrała ci pieniądze?

- Yhm. Na buty do piłki nożnej. Wszyscy w drużynie mają, oprócz mnie. Zarobiłem pięć dolarów, panna Wilson dała mi resztę.

- I...? - Steve zachęcał chłopca do mówienia, ale patrzył na Marcy w taki sposób, że się zarumieniła.

Jimmy przyznał, że sam poprosił panią Emory o przechowanie pieniędzy.

- Wczoraj wracaliśmy z Tedem ze szkoły... - zawahał się - wyglądaliśmy się trochę. Kopaliśmy piłkę, no i... piłka stłukła okno pana Burtona. On się wściekł i zaczął krzyczeć, że nowa szyba będzie kosztować piętnaście dolarów i że ktoś za to zapłaci. Potem pani Emory powiedziała, że to moja wina. To niesprawiedliwe!

- Niesprawiedliwe? - Steve nie odrywał oczu od chłopca.

- Kto kopnął piłkę?

- Ja - przyznał Jimmy. - Ale Ted miał ją złapać - próbował się bronić.

- Chwileczkę. Ty kopnąłeś piłkę w okno, tak?

- No tak, ale... te pieniądze były na buty i pani Emory nie miała prawa ich oddać. Nikomu. - Chłopiec walczył z napływającymi do oczu łzami. - Powiedziała, że muszę uczyć się odpowiedzialności.

- To prawda. Trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów,

nawet jeśli to był przypadek. Im szybciej się tego nauczysz, tym lepiej - tłumaczył Steve.

Marcy żałowała chłopca - tak mu zależało na tych butach. Nagle pomyślała o pani Emory. Jeśli odkryje nieobecność podopiecznego i zawiadomi policję? Lepiej będzie, jeśli do niej zaraz zadzwonię i wszystko wyjaśnię, postanowiła. Jednak w drodze do telefonu zaczęła mieć wątpliwości. Zadzwonię w środku nocy i co powiem? A może...? Jimmy wymknął się przez okno. Gdyby udało mu się wrócić tą samą drogą? Marcy, co za nieprofesjonalna postawa!

Wróciła do stolika, na którym pojawiły się lody i szarlotka.

- Właśnie mówiłem Steve'owi, że chcę wrócić do mamy. Ona nie będzie na mnie wrzeszczała, tak jak pani Emory, ani rządziła się moimi pieniędzmi. Mama mnie kocha.

- Nie jestem tego pewien. Porzuciła cię, prawda? - spytał Steve.

O nie! To okrutne. Nie mogę mu pozwolić na dręczenie dziecka, zdenerwowała się Marcy.

- Chwileczkę, Steve - wtrąciła się, ale nie dał jej dokończyć.

- Marcy nie chce, żebym z tobą rozmawiał. Ale ja chcę ci powiedzieć, że kiedyś byłem taki, jak ty.

- Naprawdę? - Jimmy był zaskoczony.

- Tak. Moja mama mnie zostawiła.

- Była chora?

- Nie, po prostu odeszła. - Odsunął ciastko, jakby stracił apetyt. Marcy wstrzymała oddech. Diana mówiła, że ich matka zmarła, kiedy byli dziećmi.

- Jak to się stało? - dopytywał się Jimmy. - Dlaczego odeszła, jeśli nie była chora?

- Nie wiem. Ciągle na nią czekałem, myślałem, że przyjdzie...

- Przerwał.

Gorycz w jego głosie sprawiła, że Marcy miała ochotę go przytulić.

- I nigdy nie wróciła?

- Nie. - Steve milczał przez chwilę. - Wiem, co czujesz, Jimmy. Ja też byłem samotny. Tato zostawiał mnie z różnymi ludźmi. Niektórzy mnie nie lubili.

Chłopiec pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Posłuchaj, Jimmy. Musisz się nauczyć polegać na sobie i radzić sobie w każdej sytuacji.

- Ale kiedy nikt cię nie lubi... Zresztą tobie nikt nie zabrał pieniędzy.

- Mój ojciec zabrał mi pieniądze, które zarabiałem przez całe lato. Wtedy uciekłem z domu.

Jimmy chłonał opowieść Steve'a. Marcy tymczasem przypominała sobie słowa Diany: „Dał mi pieniądze na czerwony płaszcz. Następnego dnia zniknął”.

- Później dowiedziałem się, że wziął te pieniądze, bo musiał zapłacić ludziom, którzy opiekowali się mną i moją siostrą. Teraz wiem, jak bardzo się wstydziłem, że nie byłem w stanie nas utrzymać, ale wtedy myślałem tylko o tym, że zabrał moje pieniądze. Byłem urażony i zły, więc postanowiłem odejść... - Przerwał i spojrzał Jimmy'emu prosto w oczy. - Popełniłem błąd. Chciałbyś uciec, bo coś nie układa się po twojej myśli. Zanim to zrobisz, zastanów się, dokąd chcesz pójść. Byłem wtedy trochę starszy niż ty, ale równie niemądry: nie miałem schronienia, pieniędzy, wykształcenia ani pani Wilson do pomocy.

Marcy była zafascynowana historią Steve' a nie mniej niż Jimmy, chociaż zdawała sobie sprawę, iż poszczególne epizody były specjalnie dobrane i może nieco przesadzone, żeby wystraszyć chłopca. Do tej pory uważała Steve'a za silnego, pewnego siebie, lubiącego rządzić mężczyznę. Teraz wyobraziła sobie samotne, nieszczęśliwe dziecko porzucone przez matkę; przerażonego nastolatka, który uciekał przed policją, aby nie zostać aresztowanym za włóczęgostwo, sypiał pod mostem, był ciągle głodny, wreszcie wstąpił

do marynarki wojennej. Miała ochotę go przytulić, wynagrodzić doznane krzywdy. Zrozumiała też, że wszystko to sprawiło, że stał się silny i wyrozumiały.

- Byle jaki dom jest lepszy niż żaden, Jimmy. Nie oczekuj doskonałości. Dorośli też mają swoje problemy. Trzeba się uczyć; ja nie mogłem znaleźć pracy, bo nic nie umiałem. Naucz się czegoś, a będziesz mógł zarobić, zawsze znajdą się ludzie, którym będzie potrzebna pomoc przy myciu okien czy koszeniu trawy.

Jeśli Jimmy słucha uważnie, pomyślała Marcy, wiele się dzisiaj nauczy.

- Chyba zostanę u pani Emory, nie jest tam najgorzej; dobre jedzenie, nikt mnie nie bije. A to okno naprawdę wybiłem.

Pomogli Jimmy'emu wrócić tą samą drogą, którą uciekł.

- Nie mów o braku profesjonalizmu - Steve upominał zdenerwowaną Marcy. - Nazwij to zapobieganiem problemom.

- Czemu nie pozwoliłeś mi dać mu pieniędzy na buty?

- W nagrodę za ucieczkę? - oburzył się. - Zresztą „łatwo przyszło, łatwo poszło”.

- Przecież nie stłukł tej szyby specjalnie. Tak zależy mu na butach do piłki nożnej.

- Dzieciak musi nauczyć się dawać sobie radę. Powinien zastanowić się, czego chce i ponosić odpowiedzialność.

Marcy miała wyższe wykształcenie, ale doświadczenie było najlepszym nauczycielem; nigdy nie byłaby w stanie rozmawiać z chłopcem tak, jak robił to Steve: rzeczowo i w pełni szczerze. Nie wahał się odkryć swoich najgłębszych tajemnic, żeby ustrzec dziecko przed popełnieniem błędu. Czowała wobec niego ogromną wdzięczność, ale i podziw dla człowieka, którego do tej pory nie знаła.

- Dziękuję, Steve. - Dotknęła delikatnie jego ramienia. - Miałam szczęście, że przyjechałeś tu ze mną.

- Pewnie. - Zmarszczył brwi. - Chodzenie po nocy nie jest bezpieczne. Dobrze, że cię spotkałem w drodze z lotniska.

- Wracaleś z Connecticut? - Nie bez przyjemności pomyślała, że teraz Steve będzie w domu. - Nie myślałam o sobie, kiedy mówiłam o szczęściu.

- Nigdy o sobie nie myślisz. Dzwoni dzieciak i biegniesz, nieważne, czy w dzień, czy w nocy.

- Steve, to, co zrobiłeś dziś dla Jimmy'ego, było wspaniałe. Nikt inny nie mógłby lepiej go zrozumieć i wytłumaczyć, że popełnił błąd.

- Może. Ale czasem słowa nie wystarczają, trzeba coś przeżyć, żeby zrozumieć.

Kiedy dotarli do domu, Marcy zatrzymała się na chwilę.

- Wiesz, o czym myślę? - spytała.

- O czym? - Uśmiechnął się.

- Że jesteś wyjątkowy - odpowiedziała i wspinając się na palce, pocałowała go, potem wbiegła do domu i szybko zamknęła za sobą drzwi.

Nawał pracy sprawił, że Marcy skontaktowała się z panią Emory dopiero cztery dni później.

- Chyba trochę się zmienił - mówiła kobieta. - Nie jest już taki nieznośny. A wczoraj poprosił, czy może mi pomóc myć okna? Niewiarygodne, prawda? Powiedział, że chce się nauczyć.

Czy jedna noc, jedna rozmowa, mogła wszystko zmienić? Marcy rozmawiała też z Jimmym; była ciekawa, czy jest zadowolony ze swojej decyzji.

- Nie jest źle, panno Wilson. Pan Prescott mówi, że każde miejsce jest dobre.

- Pan Prescott?

- Wie pani, ten, który był z panią wtedy. Przyszedł do mnie wczoraj i dał mi tę kartkę. Tam jest numer jego biura w Nowym Jorku. Gdybym miał kłopoty, połączą mnie z nim.

„Dzieciak musi nauczyć się polegać na samym sobie”, czy nie tak mówiłeś? Masz miękkie serce, Steve, pomyślała.

- Powiedział, że mam do niego pisać o tym, czego się nauczyłem. A kiedy skończę szkołę, pomoże mi znaleźć pracę. A może pójdę na studia?

Steve. Z pozoru twardy i nieprzystępny, a w gruncie rzeczy delikatny i opiekuńczy. Nikt lepszy nie mógł przytrafić się dzieciom Diany ani Jimmy'emu.

Tobie też. Powinnaś zostać z nim na każdych warunkach.

Nie mogłabym... Gdyby nie darzył mnie prawdziwym uczuciem, to byłoby zbyt bolesne, przekonywała Marcy samą siebie, ale nie była do końca pewna, czy ma rację.

RRS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po powrocie do domu Marcy była niespokojna, jakby na coś czekała.

Steve.

Kotek łąsił się do jej nóg, pogłaskała go, wlała trochę mleka do miseczki. Zaparzyła sobie herbatę rumiankową, potem usiadła i oddała się rozmyślaniom. Gzy słowa są ważne, czy muszę słyszeć „Kocham cię”? Tato zawsze powtarzał, że najważniejsze są czyny. „Nie wierzę w miłość”, mówił Steve, a jednak zajął się dziećmi Diany właśnie z miłości, nie tylko z poczucia obowiązku. Poświęcił też wiele czasu Jimmy'emu, którego prawie nie znał.

Jest dobrym człowiekiem, miłym dla innych. Gzy to coś dla ciebie oznacza?

Że warto go kochać.

Kochasz go?

Tak! Małżeństwo z nim byłoby czymś wspaniałym.

Marcy, próbujesz się usprawiedliwiać. Kontraktowe małżeństwo byłoby farsą.

Ale ja go kocham, uwielbiam, gdy się uśmiecha, podejmuje decyzje, przekomarza się ze mną. Wszystko, co trzeba zrobić - zmienić koło lub wyłajać niegrzeczne dziecko - robi bez wahania. I potrafi być taki delikatny. Kobieta, którą poślubi, będzie szczęśliwa. Ja mogę być tą kobietą! Prosił mnie o to. Mnie, Marcy Wilson, nikogo innego.

Proponował ci formalne małżeństwo, wygodny dla siebie układ. Może. Ale wiem, że coś do mnie czuje, kiedy mnie całował. I co z tego? Natychmiast się wycofał, a potem przeprosił.

To dlatego, że się bał! Miłość kojarzy mu się z bólem, odejściem, zdradą. Kiedy opowiadał Jimmy'emu o swojej matce, był pełen goryczy. Kiedyś powiedział, że nie można ufać kobietom. Wtedy Marcy sądziła, że się przesłyszwała, ale on naprawdę tak myśli, ponieważ kobieta, której najbardziej ufał, zdradziła go. Takie przeżycia w dzieciństwie mogą zaważyć na całym późniejszym życiu, wiedziała o tym dobrze. Steve usiłował to ukryć, także przed samym sobą. Dopiero spotkanie z Jimmym sprawiło, że głośno wyraził swój ból. Nie przestał być zdolny do miłości, ale boi się tego uczucia...

Marcy tuliła kotka i zastanawiała się nad zagadką, jaką był Steve Prescott: silny, odpowiedzialny, opiekuńczy, zraniony, zagubiony, nieufny. Gdyby za niego wyszła, nauczyłaby go miłości i ufności.

Zaczęła wyobrażać sobie, że jest jego żoną; mieszkają razem, codziennie jedzą wspólnie z dziećmi śniadanie, spacerują wśród starych dębów. Kochają się. Niemal czuła jego pocałunki, pieszczoty. Ponoсила ją wyobraźnia, poddała się erotycznej fantazji.

Wiesz dobrze, że nie byłoby to prawdziwe małżeństwo. Może nigdy by cię nie pokochał.

Jeśli się nie pobierzemy, Steve na zawsze zniknie z mojego życia, pozostaną tylko wspomnienia czegoś, co mogło się zdarzyć. Nie podoba mi się taka perspektywa, chcę być z nim za wszelką cenę. Wolę zaryzykować, niż go utracić.

Podjęła decyzję i natychmiast poczuła się lepiej, postanowiła pójść do niego, powiedzieć, że zmieniła zdanie, że zgadza się na kontraktowe małżeństwo.

Drzwi otworzyła wyjątkowo piękna kobieta, ta sama,- której zdjęcie stało w pokoju Steve'a.

- Cześć. - Uśmiechnęła się słodko. - Wejdz. Nazywasz się Marcy, prawda?

- Tak. - Marcy zmusiła się do uśmiechu.

Pani Chisholm, która stała obok nieznanym, mrugnęła porozumiewawczo. Piękność ponowiła zaproszenie. Nie mogąc się wycofać, Marcy weszła do środka. Świadomość, że ma na sobie stare dżinsy i sweter, pogarszała jej samopoczucie; eleganckie skórzane spodnie nieznanym podkreślały jej idealną figurę.

- Cześć, Marcy. To jest Tricia. Ładna, prawda? - Davey był najwyraźniej pod wrażeniem. Marcy stłumiła w sobie chęć nakrzywienia na chłopca i przyznała mu rację.

- Chcesz popcornu? - spytała Ginger.

- Poczęstuj się - zachęcała Tricia. - Przyłącz się do nas. - Podała Marcy salaterkę z prażoną kukurydzą, po czym z wdziękiem usiadła na podłodze. Zachowywała się, jak u siebie. Marcy miała ochotę rozbić naczynie na jej głowie, postanowiła więc natychmiast wyjść.

- Dziękuję, muszę już iść.

- Zjedz trochę, Marcy, zobaczysz, jakie to dobre. - Ginger pociągnęła ją za rękę, tak że musiała usiąść. Z trudem przełknęła kilka ziaren, pilnie obserwowana przez dziecko.

- Smakuje ci? Tricia przygotowała.

I co z tego? Każdy potrafi zrobić popcorn.

- Popatrz, Marcy, jaką układankę przywiozła nam Tricia. To zwierzęta z zoo w Nowym Jorku. - Davey położył jeden z elementów. - Tutaj pasuje, prawda, Tricia?

- Śliczna układanka - pochwaliła Marcy. Gdzie jest Steve, zastanawiała się. Nie mogła znieść widoku rozbawionej trójki. - Naprawdę muszę iść.

- Zaczekaj - nalegała Tricia. - Steve wyszedł po zakupy, powinien zaraz wrócić. Chciałaś z nim porozmawiać?

- Tak. Nie, to nic ważnego.

- Może poczekaasz? Należę ci wina.
- Nie - odmówiła zdecydowanie, coraz bardziej zdenerwowana.

Jakim prawem ta kobieta zachowuje się jak gospodyni, dysponuje winem Steve'a? Po chwili zawstydziła się. Nigdy dotąd nie reagowała taką agresją. Co się stało? Zmusiła się do uśmiechu.

- Cieszę się, że cię poznałam, Tricia. Podoba ci się tutaj? -

W duchu zaś dodała: „Jak długo zamierzasz zostać?”.

- O tak, bardzo mi się podoba.

- Jedziemy do Ticut - informowała podekscytowana Ginger.

- Tricia też jedzie.

Marcy czuła rosnący niepokój.

- Będziemy mieli kucyki - dodał Davey, podnosząc głowę znad układanki. - Tricia nauczy nas jeździć konno, prawda?

Niepokój zmienił się w rozpacz. A więc Steve wynajął już żonę. Tricia będzie mieszkać w pięknym domu w Connecticut ze Steve'em i dziećmi. Marcy chciała uciec, ale nie miała siły wstać.

Ginger powiedziała, że nazwie swojego kucyka Bozo. Davey odpowiedział, że to nie jest imię dla konia i że jego kucyk będzie się nazywał Król albo Kapitan. Tricia spytała, czy Marcy widziała zdjęcia tego domu. Wzięła je ze stolika i zaczęła oglądać, snując plany przebudowy stajni i wybiegu. Wszyscy zdawali się mówić jednocześnie, Marcy wciąż powtarzała „Tak”, „Nie”, „Wspaniale”. Wreszcie zebrała siły, żeby wstać.

- Pójdę już. Muszę... kupić jedzenie dla kota.

- Tak mi przykro - słodkim głosem powiedziała Tricia. - Steve mówił, że szybko wróci. Może mu coś przekazać?

- Nie, to nic ważnego.

Powtarzała te słowa w drodze do swojego mieszkania. Siadła na sofie, patrzyła na popiół w kominku i czuła, że zapada się w zimną, ciemną otchłań.

Dobrze się stało, że zobaczyłam ją, zanim pobiegłam do Steve'a i rzuciłam mu się w ramiona, tłumaczyła sobie.

Jak mogłeś, Steve!

Nie bądź niemądra, Marcy. Odmówiłaś mu, więc poprosił Tricię. A może już wcześniej jej to proponował? Byli przecież przyjaciółmi... kochankami... zanim poznał ciebie. Może nie chciała się zgodzić, ale teraz zmieniła zdanie. Będzie jego żoną, nie wynajętą, ale prawdziwą. Będą... Marcy wiedziała, że nie potrafi być szczęśliwa bez Steve'a, czuła jedynie ból i pustkę.

Jestem zupełnie jak Jenny: uzależniona, samotna, nieszczęśliwa.

O nie, dam sobie radę, nie pozwolę, by moje życie zależało od jednego człowieka!

Zapaliła kolorowe lampki na choince. Boże Narodzenie to czas szczęścia. Będzie myślała pozytywnie i będzie jej dobrze. Ma wspaniałych przyjaciół, dobrą pracę, śliczne mieszkanie. Zadzwoił telefon. Tom zapraszał ją na jutro. Odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem, ale nalegał, chciał z nią porozmawiać, więc w końcu się zgodziła.

Steve odstawił filiżankę i uśmiechnął się do Trici. Brała udział w pokazie mody w San Francisco, a potem przyjechała z przyjaciółmi do Auburn, żeby go odwiedzić. Ucieszył się, ale... Nie wypada zerkać na zegarek.

- Znakomita kolacja, Steve.

- Owszem, pani Chisholm jest wspaniałą kucharką. - Dochodzi szósta. Dlaczego ci znajomi Trici nie przyjeżdżają? No i gdzie się podziewa Marcy? Nie widział jej od kilku dni,

- Zabierzesz ją ze sobą do Connecticut?

- Mam nadzieję. Zamierzam... - Tricia mówi przecież o pani Chisholm. - To znaczy... chciałbym, ale ona ma rodzinę.

Nie mógł się doczekać, kiedy Tricia wyjdzie, żeby mógł pójść i porozmawiać z Marcy. Piękność zgasiła papierosa i sięgnęła po dzbanek.

- Dolać ci kawy?

- Nie, dziękuję. - Czuł, że nie wypełnia dobrze roli gospodarza, powiedział więc kilka ciepłych słów na temat jej błyskotliwej kariery.

- W przyszłym miesiącu jadę na sesję do Paryża. - Opowiadała przez chwilę o swojej pracy, potem o wspólnych znajomych z Nowego Jorku. Słuchał niezbyt uważnie, zaprzątnięty własnymi sprawami. Złożył ofertę kupna domu, nie zdążył jednak sprawdzić szkół w okolicy. I nie był pewien, czy Marcy na pewno podoba się to miejsce. Czemu go unika?

Wstał nagle i zaprowadził gościa do salonu; wrzucił polano do kominka, otrzepał ręce. Tricia stanęła za nim i zaczęła powolny, zmysłowy masaż.

- Och, zapomniałabym. Czy pani Chisholm mówiła ci, że była tu ta kobieta z opieki społecznej?

- Marcy? - Odsunął się i odwrócił. - Czego chciała?

- Mówiła, że to nic ważnego, ale sędzę, że chyba kłamała.,.

- O co ci chodzi?

- Jest taka jak my wszystkie. - Podeszła bliżej i dotknęła jego policzka. - Oczarowana mężczyzną, który nazywa się Stephen Prescott.

- Mylisz się, nigdy nie dała mi powodu sądzić, że jestem czarujący. To zupełnie wyjątkowa kobieta.

- O? - Tricia uniosła brwi. - Może powiesz mi o niej coś więcej?

- Ona jest bardzo... otwarta na innych. - Nie chciał jednak mówić Trici, kim naprawdę była dla niego Marcy. - Jest... zupełnie oddana swojej pracy.

Dzwonienie do drzwi obwieściło przybycie przyjaciół Trici. Dzięki Bogu! Nie zostali długo, Steve pożegnał ich z ulgą. Tricia proponowała, by spędził z nią kilka dni w San Francisco. Odmówił, a ona nie nalegała. Rozstali się, jak zawsze, bez zobowiązań.

Powiedział gospodyni, że wychodzi do sklepu. Przypomniała

mu, żeby kupić mleko. Zanim doszedł do drzwi Marcy, zobaczył, że wychodzi z facetem w okularach w rogowych oprawkach. Znowu on! Mężczyzna obejmował ją, a Marcy śmiała się i spoglądała na niego w taki sposób, że Steve poczuł przyspieszone bicie serca i ucisk w żołądku.

Ejże, człowieku, chyba nie jesteś zazdrosny?

Pewnie, że nie. Tylko zawsze, kiedy potrzebował Marcy, była niedostępna. Kiedy weźmiemy ślub...

Jeśli weźmiecie ślub.

Nie zamierzam stąd wyjechać bez Marcy.

Co ten facet sobie wyobraża! Obejmuje ją, jakby już należała do niego...

Steve zorientował się, że stoi z zaciśniętymi pięściami i patrzy za odchodzącą parą. Zawrócił w stronę mieszkania, ale przypomniał sobie o mleku, poszedł więc na parking. Był dziwnie niespokojny, a jednocześnie czuł się bardzo samotny. To szaleństwo, tłumaczył sobie.

Nie widziałem jej kilka dni, a ona idzie sobie na randkę.

A niech to! Muszę wreszcie wszystko wyjaśnić. Trzasnął drzwiami i ruszył z piskiem opon.

„Nie jestem w nikim zakochana” - powiedziała, gdy zapytał ją o to. Ale kiedy patrzyła na tego okularnika, można było odnieść inne wrażenie. Ona jest za bardzo ufna, ktoś może ją skrzywdzić. Przyjaciel, stary dobry przyjaciel, mówiła o Geraldzie, który miał klucz do jej mieszkania i przychodził, kiedy chciał...

- Jedzie pan do pożaru, kolego? - pytał dobroduszny policjant, kiedy wystawiał mu mandat za przekroczenie prędkości.

- Raczej na pogrzeb - westchnął Steve,

Jechał teraz z bardziej rozsądną prędkością i, zupełnie nieświadomie, znalazł się w tym samym zajeździe, gdzie nocą rozmawiał z Jimmym. Próbował odtworzyć atmosferę tamtej nocy. Marcy i on

byli sobie tacy bliscy... byli razem, jak jedno. A potem stanęła na palcach, żeby go pocałować. „Jesteś wyjątkowym człowiekiem”. Wciąż czuł ciepło tamtej chwili, zapamiętał, że widział w oczach Marcy... miłość?

Stephenie Prescottcie, co za głupiec z ciebie! Wcale nie chcesz z nią rozmawiać. Chciałbyś trzymać ją w ramionach, całować. Wynająć żonę! Co za głupi, niesmaczny żart! Kochasz Marcy do szaleństwa, tylko boisz się do tego przyznać. Chcesz mieć ją tylko dla siebie - żadnych Geraldów, Rogowych Oprawek ani... Trici.

Marcy włożyła do koszyka puszki z jedzeniem dla kota.

Lubiła Toma i nie chciała sprawiać mu przykrości, ale nie mogłaby odwzajemnić jego uczucia. Odrzuciła więc propozycję spędzenia świąt z jego rodziną.

Święta. Bez Steve'a i dzieci. Bez marzeń. Powinnam wreszcie zejść na ziemię upomniała się.

Chciała kupić ostrygi, poszła więc w kierunku chłodziarek.

Czemu zawsze stawiają mleko tak daleko od wejścia? - złościł się Steve, manewrując między rzędami półek. Czemu wszystko nie układa się tak, jak byśmy chcieli? Czemu Marcy jest z tantym facetem, a nie ze mną?

Marcy przeraziła cena ostryg, będzie musiała odstawić kilka puszek, żeby wystarczyło jej pieniędzy.

- Marcy, muszę ci coś powiedzieć. Odstaw to!
- Zamierzałam właśnie odłożyć kilka puszek - odpowiedziała machinalnie, zaskoczona poleceniem. Odwróciła się błyskawicznie, gdy zrozumiała, kto do niej mówił. - Steve!
- Słyszałaś? Odstaw to! Mam ci coś do powiedzenia.
- Nie chcę tego słyszeć! - Jakaś kobieta przyglądała się im,

więc Marcy zniżyła głos. - Nie musisz mi mówić. - Nie zniosłaby słów: „Żenię się z Tricią”.

- Posłuchaj. Chcę, żebyś wiedziała, że...

- Nie musisz mi mówić, już to wiem.

- Co wiesz? Skąd możesz wiedzieć, ja sam dopiero się dowiedziałem.

- Dzieci mi powiedziały. - Przygryzła usta. - Życzę wam dużo szczęścia.

- Dzieci ci powiedziały? Poczekaj chwilę. - Odsunął gwałtownie jej koszyk. Kobieta, która cały czas ich obserwowała, zakryła dłonią usta i gdzieś pobiegła. - Usiłuję ci powiedzieć, że cię kocham, a ty wciąż mówisz o czymś, czego dowiedziałas się od dzieci.

Sądziła, że się przestyszała. Odeszła kilka kroków, żeby lepiej go widzieć. Zaczepiła ramieniem o stertę puszek, które z hukiem zleciały na podłogę. Kilkanaście osób obejrzało się.

- Do diabła! - Steve kucnął, żeby je pozbierać. Marcy kucnęła obok.

- Co powiedziałeś?

- Że ciągle mówisz o czymś, co usłyszałaś od dzieci.

- Ale co powiedziałeś wcześniej?

- Kocham cię, Marcy, i chcę, żebyś za mnie wyszła, żebyś została moją prawdziwą żoną.

- Ale ja myślałam, że Tricia...

Steve powiedział właśnie najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszała. Marcy na przemian śmiała się i płakała. Przysunęła się bliżej i pocałowała go.

- Droga pani, to nie wygląda na kłótnię.

Podnieśli głowy i zobaczyli tamtą kobietę w towarzystwie dwóch roślących ochroniarzy, którzy uśmiechali się szeroko.

- Zostawcie te puszki, zajmiemy się nimi - powiedział jeden z nich.

Steve wstał i pomógł Marcy się podnieść, potem przytulił ją i pocałował. Zebrani wkoło ludzie zaczęli bić brawo.

- Wychodźcie, koniec na dzisiaj - upomniał sprzedawca. - Zamykamy!

Steve i Marcy uśmiechnęli się do gapiów i wyszli, trzymając się za ręce. Dla nich był to koniec nieporozumień i początek wspólnego życia.

RS